NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 10 lipca 1915. Nr. 28.

Z ponurych i jasnych dni Lwowa.



Pierwszy oddział wojsk rosyjskich po wkroczeniu do Lwowa.



Uroczyste powitanie jenerała Böhm-Ermollego (×) po wypędzeniu Rosyan ze Lwowa.

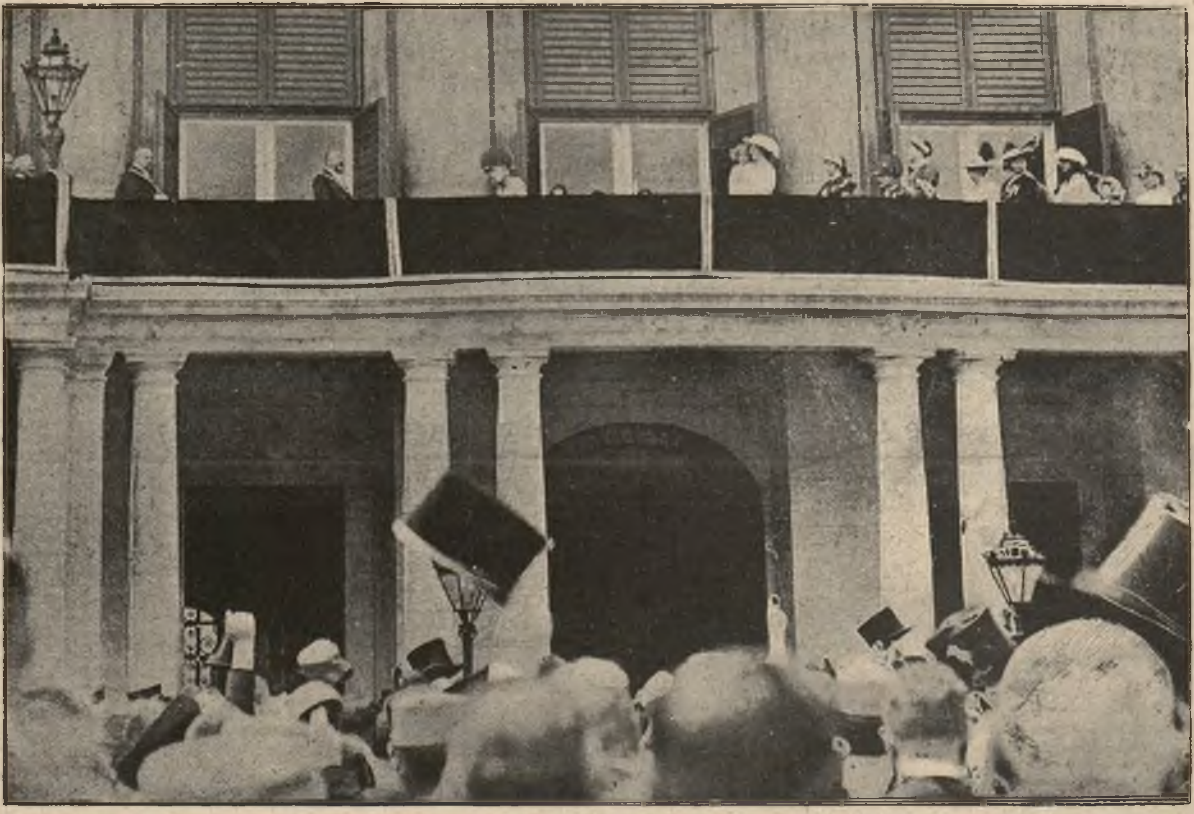
Z ponurych i jasnych dni Lwowa.

Lwów, stolica Galicyi, dzięki swemu położeniu geograficznemu u samych prawie kresów wschodnich monarchii, narażony też był tem samem i na największe niebezpieczeństwo odwiedzin nieproszonych gości.

I tak się też stało. Wojska austro-węgierskie, nie chcąc narazić miasta na pewne zniszczenie od pocisków dział rosyjskich, zwłaszcza, że Lwów nie był fortecą, cofnęły się ku zachodowi. a niebawem pojawiły się pierwsze patrole rosyjskie, a tuż za niemi reszta najeźdźczej armii.

Ludność Lwowa ogarnęła rozpacz, przybysze tryumfowali, gdyż zdawało im się, że się spełniły najgorętsze życzenia rosyjskich panslawistów, i że to miasto, które przez nich uważane jest za czysto „rosyjskie“, odtąd już na stałe znajdować się będzie pod knutem „świętej matuszki Rosyi“.

Rozpoczęli też Moskale rządy na swoją modę, podzielili nawet Galicyę, choć dopiero zaledwie małą jej część mieli w swem ręku, na gubernie, we Lwowie utworzyli siedzibę jenerał-gubernatora, którym zamianowano hr. Bobrińskiego, bratanka osławionego czarnosecińca, znanego i u nas z swych występów politycznych, słowem dla Lwowa nastały czasy ucisku i niedoli, które rozjaśniała słaba tylko nadzieja lepszej przyszłości i pomocy od strony zachodu.



Z ponurych i jasnych dni Lwowa: Manifestacya w Schönbrunnie po uwolnieniu Lwowa. Na balkonie Cesarz, arcyksiążę Karol Franciszek Józef i arcyksiężna Zyta z synem na ręku.

Nawet car Mikołaj raczył odwiedzić osobiście „uwolniony“ kraj i przybył do Lwowa, gdzie wygłosił z balkonu mowę do gromadki spędzonych na tę uroczystość członków ochrany i żołnierzy. Od tej chwili rubel i knut rozpoczęły swą pracę.

Czytając dziś wiadomości o stosunkach, jakie panowały we Lwowie w czasie kilkomiesięcznego najazdu moskiewskiego, wprost wierzyć się nie chce, by do czegoś podobnego zdolnem było państwo, aczkolwiek z Azyi początek swój wywodzące, roszczące sobie przecież pretensye do kultury i pragnące występować zawsze w roli oswobodziciela.

Dla złodziei i wszelkiego rodzaju mętów społeczeństwa nastały prawdziwe złote czasy, ale, niestety, rychło się miały zakończyć, gdyż właśnie od chwili carskich odwiedzin Moskalom zaczęło się coraz gorzej powodzić. Rozpoczęło się cofanie ku północy i wschodowi, armie sprzymierzone następowały coraz silniej, odbierając krok za krokiem zajęte galicyjskie tereny.

Oswobodzono Przemyśl, którego zdobycie taką radością napoiło ludność całej Rosyi, przyszła kolej wreszcie i na Lwów. Dawna fantazya i nadzieje zabrania całej Galicyi ustąpiły miejsca przygnębieniu, nabrano przekonania, że Lwów dla carskiego imperyum stracony... To też na wiadomość, że armie austryacko-niemieckie napierają coraz silniej i z różnych stron w kierunku Lwowa, już w dniu 21. czerwca ludność napływowa rosyjska opuściła miasto (według doniesienia „Timesa“ władze wystawiły w tym czasie dziesięć tysięcy paszportów), w dniu zaś 22. czerwca b. r. o godzinie czwartej po południu wkroczył po zaciętych utarczkach do Lwowa jenerał kawaleryi Böhm Ermolli na czele zwycięskiej armii austryackiej.

Entuzyazm, z jakim przyjmowano tym razem prawdziwych oswobodzicieli, trudno opisać, trzeba było samemu być na miejscu i patrzyć na to własnemi oczyma! Skończyły się dni ucisku i niewoli, otucha napełniła serca mieszkańców stolicy Galicyi, całemu krajowi zaświtała jutrzenka lepszej przyszłości i rychłego przepędzenia najeźdźcy daleko za graniczne słupy.



W smutną rocznicę: Uroczyste nabożeństwo żałobne za spokój duszy arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonki ks. Hohenberg w kościele św. Piotra w Krakowie.

Wiadomość o odzyskaniu Lwowa przyjęto z radością niesłychaną w całym kraju i monarchii, we wszystkich większych miastach odbyły się z tego powodu nabożeństwa dziękczynne i podniosłe manifestacye.

Król bawarski w Krakowie.

W dniu 27. czerwca Kraków witał w swych murach dostojnego gościa. W przejeździe do swych wojsk zatrzymał się w grodzie podwawelskim król bawarski Ludwik. Na dworcu powitali króla przedstawiciele wojskowości, władz cywilnych i miasta, poczem król udał się na mszę św. do kościoła Najświętszej Panny Maryi. W bramie powitał dostojnego gościa arcybiskup Simon, który odprawił następnie nabożeństwo. Podczas mszy św. siedział król w fotelu, ustawionym w środku presbiteryum.

Po nabożeństwie w kościele Maryackim udał się król w towarzystwie feldmarszałka porucznika Nastupila, dra Lea i dra Nowaka do katedry na Wawelu, gdzie przy wejściu oczekiwali: książę biskup Sapieha, prałat Wądolny, kanonik ks. dr. Podwin i konserwator dr. Szydłowski, który udzielał fachowych wyjaśnień w katedrze. Król zwiedził wnętrze katedry, wszystkie ołtarze i kaplice. Dłuższy czas zatrzymał się w kaplicy Zygmuntowskiej.

Z katedry udali się wszyscy na dziedziniec zamkowy, gdzie powitali króla architekt p. Skawiński i sekretarz p. Bogdani. Król szczegółowo obejrzał architekturę dziedzińca, poczem udał się do kościoła Bożego Ciała, św. Katarzyny, na kopiec Kościuszki, wreszcie zwiedził Muzeum Narodowe, Muzeum książąt Czartoryskich i zbiory sztuki.

Po zwiedzeniu jeszcze okolic Krakowa, wieczorem król bawarski opuścił nasze miasto, udając się do swych wojsk w Galicyi.



Zgon wielkiego artysty: S. p Józef Brandt.

W smutną rocznicę.

W dniu 28. czerwca r. b. upłynął rok od chwili, w której według słów odręcznego pisma cesarskiego z dnia 5. lipca roku zeszłego „szczupła garstka obałamuconych szaleńców“ dopuściła się strasznej zbrodni w Serajewie. Ohydny ten mord, spełniony na osobie następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonki Zofii ks. Hohenberg, wstrząsnął do głębi wszystkiemi ludami monarchii i stał się początkiem ważnych wydarzeń dziejowych, które doprowadziły do obecnej wojny.

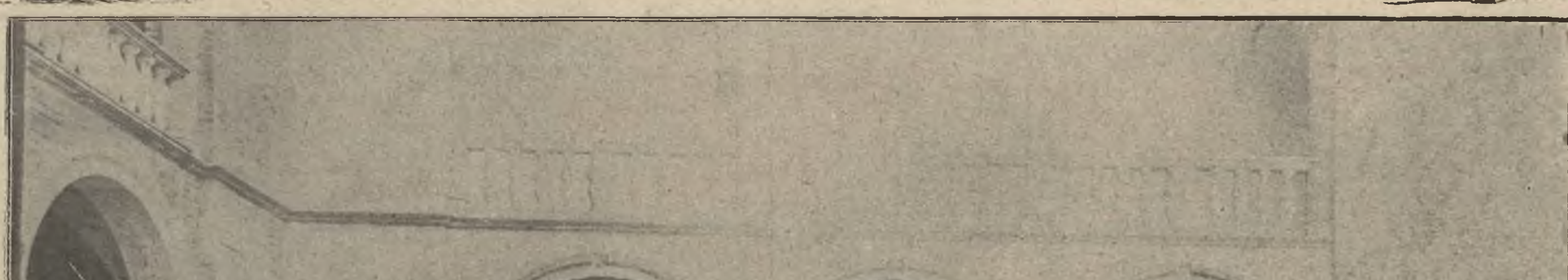
Przy odgłosie krwawej pożogi uczczono pamięć ofiar serajewskiej zbrodni uroczystemi żałobnemi nabożeństwami.

W Krakowie nabożeństwo żałobne za spokój duszy arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonki odbyło się w kościele św. Piotra staraniem Komendy twierdzy krakowskiej. Świątynia zapełniła się szczelnie publicznością cywilną i wojskową. Nabożeństwo celebrował przed wielkim ołtarzem kapelan twierdzy, ks. Biolek. Przed ołtarzem na fotelu zasiadł książę biskup Sapieha.

Na środku nawy ustawiono katafalk, rzęsiście oświetlony i emblematami państwowemi ozdobiony.

Tuż przed katafalkiem zajęła miejsce kapituła z ks. biskupem Nowakiem, ks. arcybiskup Simon, generalicya z marszałkiem polnym porucznikiem Nastupilem, korpus oficerski, Rada miasta Krakowa z prezydentem i wiceprezydentami, Rada miasta Podgórza, profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, delegat Namiestnictwa dr. Federowicz, oraz naczelnicy wszystkich władz rządowych i autonomicznych w Krakowie.

W nabożeństwie wzięła także udział ks. Renata Radziwiłłowa z Balic.



Król bawarski w Krakowie: Król Ludwik (X) ze świtą w gronie krakowskich dygnitarzy duchownych, wojskowych i cywilnych na Wawelu.
(Fot. Jabłoński, Kraków).



Uroczystość połączenia Podgórza z Krakowem: Spotkanie i powitanie Rad miejskich, krakowskiej i podgórskiej, na Trzecim moście.



Uroczystość połączenia Podgórza z Krakowem: Radni krakowscy i podgórscy udają się na uroczyste posiedzenie Rady miasta Krakowa.
(Fot. Wiśniewski, Kraków).

STANISŁAW SŁAWIECKI.

Z CYKLU: „NA STRUNACH DUSZY“.

Fragmenty.

Rozkaz.

Nie mylił się.

Rozkaz wiódł ich wciąż na rodzinną jego wieś.

Noc ich osnuła, cisza śpiących pól towarzyszką była nieodstępną. Chłód wiosennej nocy znużone krzepił ciała, przyjaźnie otulał; zapach zaoranej, budzącej się do życia ziemi radosne budził wspomnienia, nadzieją szczęsnych poił dni...

Z nocnej ciszy, z uśpionych pól szepty szły tajemne, drżące... słowa przedziwnej szeptały tęsknoty, pragnień budziły moc.

Z głębin duszy, z najtajniejszych zakątków, tysiącem przejść w niepamięć zepchnięte, starością setek dni przybladłe, zgnębione wspomnienia jęły się budzić do życia... radosne, jak słowicze pienia, uśmiechnięte, jak wiosny poranek. Jak młode dziewczę życia tajemnicą nęcone, nieśmiało jęły podnosić głowę, tęsknemi duszy spojrzały oczyma, drogie, kochane, jak najmilsza pieszczota...

Kołysała je myśl miłośnie, jak matka dziecię dawno wytęsknione, jak sen radosny, jak marzenie złudne... Poiła się nimi, upajała.

A one... rozprostowały, już rozpięły skrzydła i niosły tęskne, rozmodlone myśli w dal, w nocnej gubiły się ciemni, nad rodzinnem zawisnęły gniazdem.

Zadrżało serce, jakby tajemną, przemożną, pierwszej naiwnej miłości siłą zniewolone. Drżało przedziwną radością, niewypowiedzianej nabierając mocy.

Śmiały się oczy i śmiały się usta, radosne szczęścia szeptając wyrazy.

Rozkołysało się serce, jak dzwon o czarownych tonach... rozbrzmiewało tysiącem upajających, pełnych niepojętych tajemnic, dźwięków, a tak serdecznych, tak dobrych, tak swojskich...

Zapomniana tęsknota z głębin duszy porwała się z niezwykłą siłą i wybuchła potokiem niezrozumiałego szeptu, pytań, zachwytów, bez żadnego związku.

Każda minuta nieogarnioną stawała się wiecznością, bez początku, bez końca, niedobrą, mglistą... Miesiące walk i niepokojów, trudu i znojów, niczem były z temi chwilami oczekiwania, z tą tęsknotą całem owładającą jestestwem.

Oko usiłowało przeszyć, niby ostra strzała, cień nocy i ujrzeć już... już... w zieleni drzew tonący dom biały...

...Cichy, biały dom...

Gniazdo kochane, marzeniem osnute, w myślach długich, nieprzespanych nocy w cudny zmienione pałac, uroków pełen, czarów niepojętych...

Śmiały się oczy, rozchyliły się usta i szeptały przedziwną rozradowanego, utęsknionego serca modlitwę.

...Zielone lipy kwitnące długim się wiją szeregiem, do okien starego dworu niemal zaglądają...

W ogródku pod oknami kwiatów barwny rozścielił się dywan... pachną lewkonie, rezedy... ciche bratki dyskretnie, kolorowemi patrzą na cię oczyma, uśmiechnięte, poczciwe...

A wśród nich szczupły, wysoki staruszek, jak siwy gołąbek krząta się, ogromnie swą czynnością przejęty... jak ojciec wśród dzieci...

Na ganku, w cieniu pnącego się po słupach okrągłych dzikiego wina staruszka-matka siedzi i coś tak szyje pilnie, wyszywa na kanwie... pewnie do kościółka ofiarę za syna...

...Łzy ma w oczach starowinka, ręce drżą wzruszeniem nieprzespanych nocy...

— ...Wrócisz, mój synu?...

— ...Czekamy na ciebie... i pola te nasze czekają... matka-ziemia nasza na swe syny czeka...

— ...Któż ją po naszym zaorze zgonie?...

...W czyje przejdzie ręce ostatnia nasza nadzieja, ostatnia ostoja...

— Komu błogosławić będzie, gdy prawych jej synów zabraknie, a obcy rzucą się, by ją wyzyskać, splugawić?...

Dziecięcych uciech świat przed oczyma mu stanął, setkami złudnych barw zamigotał i zniknął, rozpadł się...

Daremnie nurzały się oczy w ciemnościach nocy, nie wróci się już nic, co było, minęło. Daremnie wysilać myśl, daremnie szukać złudzeń...

Dzień wczorajszy... to echo blade wśród ruin przeszłości błądzące...

Teraźniejszość zimna, w przymglone marzeniem spogląda oczy...

Życie...

Daremnie myślami gonić to, co przepadło; przepadło i nie wróci już...

Cofać się nie można, każdy krok, każda chwila konsekwencye za sobą pociąga, zamyka odwrót. Przed siebie... przed siebie!..

— Przeszłości ma, radosne dni!... — wołało coś w głębi duszy, jakby trwogi głos — o jutro...

— Przeszłości ma, jasne dni... wrócicie?...

I znowu zatrzepotało serce, znowu myśl lekkoskrzydła w dal ciemną pomknęła, u progu białego domostwa usiadła, tęskna, milcząca, zadumana.

A w duszy rwące drżało pytanie, coraz natarczywsze, niespokojne, trwożne...

— Wrócicie wy... przejasne dni, pogody, słońca, braterstwa?...

— Wrócicie?

— — — — — — — — — — — —

Swit się skradał szary.

Zarysowały się blado kontury drzew, z rzadka mijane domostwa.

Długi wąż sunął drogą, wśród śpiących jeszcze, mgłą zasłanych pól, wąż ciężko toczących się zaprzęgów i grupami postępujących ludzi.

Chwilami łoskot rozlegał się głuchy, brzęk stłumionny żelaza... turkot kół, po świeżo kamieniami wysypanej drodze.

A potem wszystko cichło, przepadało, jakby je pochłonęła bez kresów przestrzeń; oczy patrzyły gdzieś w szarą dal bez granic, w jakiś świat bez życia, myśl gubiła się w jakimś labiryncie, przygniatającym swym strasznym ogromem...

...Człowiek jakimś pyłkiem się wydał maleńkim na stromem urwisku i toczył się w dół, w przepaść przestrzeni... bez końca, bez końca...

...byle dna dopaść... upaść, runąć bez pamięci, spocząć na wieki w spokoju i przestać myśleć!

Przepaść nad nami, w koło nas, przepaść u naszych stóp... bezkres... tajemnica straszna, nie do odgadnienia. Myśli się mącą, ból się rodzi...

Stalowy brzęk łańcucha, głos komendy; w dali, na początku sunącego węża koń zarżał...

Pierzchły złe myśli.

Swit wstawał rumiany, złota zorza pierwsze wysłała poświty.

Uzłociły się rosą uśmiechnięte role, tysięczne listki drzew...

Zaśmiało się naraz wszystko.

Uśmiech okrasił usta, zabłyszczały radością oczy, śmiały się myśli w jakiemś dziecięcem upojeniu, śmiały się nie wiedzieć dlaczego i po co? — tak sobie... Byle się śmiać, byle się zaśmiewać, bo chwila i przyjdzie kres...

Radość zdradzi, zostanie ból... a potem tylko żal...

Więc śmiały się myśli radośnie, oczy wysyłały na zwiady promienne błyski...

Tu, tu... wieżyca kościółka, ta sama, ta... Między czterema filarkami na szczycie, dzwonek jak dziecinna zabawka... tak, tak... kościółek...

Wokół cicha wieś, chałupki nizkie o małych okienkach, poczciwe chałupki... śpią...

...A tam opodal, na lekkiem wzniesieniu... cichy, biały dom...

...gniazdo kochane, marzeniem osnute, w myślach długich, nieprzespanych nocy w cudne zmienione dworzyszcze...

...Ojciec staruszek i matka staruszka...

...„Wrócisz, mój synu?“... śni się jej pytanie, pytanie straszne, wielkie... takie proste, krótkie, a tak długie, zawiłe, że mało dlań dnia, mało całych nocy...

— Wrócisz?...

— Czekamy na ciebie i pola te nasze czekają... matka ziemia was czeka...

— Wrócicie walczyć?...

Zatrzepotała radosna myśl, łomotało serce.

— Jedziemy, jedziemy... jesteśmy już tuż... tuż... Serca wam pewnie drżą przeczuciem... radość ku wam idzie...

Wychyliła się z cienia szeroko, w małej dolinie, rozrzucona wieś. Pierwsze promienie wschodzącego słońca kościelną uzłociły wierzyczkę i drgały tęczą barw.

Nie witał wschodzącej zorzy dzwonek kościelny poranną modlitwą, nie piały kury, nikt się nie pokazał u progów domostw, wschodzący powitać ranek.

Dziwna pustka wśród wiejskich rozsiadła się chałup; cisza... Rzekłbyś, złe przeczucie tędy przeszło i przepłoszyło wszystkich.

Nikt więc nie wyszedł naprzeciw nadchodzących? Nikt nie przeczuł, że przyjdą?...

Stanęli wśród miękkich ukryci zarośli. Rozkaz brzmiał jasno... Zajęli stanowisko.

Nieme paszcze armat lekko uniosły się w górę i milcząc czekały. Czekały spokojnie na chwilę sposobną, by zacząć dzieło zniszczenia.

Zadygotało serce... zadrgały nerwy, myśli w niemem zastygły przerażeniu.

Przepaść się czarna rozwarła wkoło i wszystko jęło się walić w proch, gruzy...

Spazmatyczny, straszny szloch w duszy rozszalał się jak orkan.

...Przeszłości ma, radosne dni!...

— Wrócicie?... — lękliwy w myśli wdarł się szept i zamikł. Zgłuszyła go zrywająca się wrzawa, ogłuszający huk, łomoty... przelatujących pocisków świsty...

Chwilę czekali.

Rozkaz! Zamarły myśli, konało serce... W biały cichy dom... cel...

Jakiś dziki w duszy zbudził się skowyt, bunt podniosło serce, gorączką pałały oczy...

Pal!...

...Nie widać wokoło nic... tumany dymu przysłoniły, w głowie szum...

...biały, cichy dom... ojciec staruszek i matka staruszka...

Jakże dziwnie kołysze się świat... co za szum?

— O dwieście metrów za daleko!...

Znowu rozkazy krótkie, urywane.

Do serca mu celują... widzi czarną paszczę stalowego potwora... huk... trafili w samo serce...

Na mogile.

Skądeś przyszedł, gdzie twój dom, ojczyzna?... Czego pragnąłeś, za czem tęskniłeś... tajemniczy jesteś, tajemnicą śmierci... poważny jesteś kredową bielą twarzy, łukiem zaciśniętych w bólu ust...

Straszny jesteś sztywnością przedziwną, co od twej bije postaci, lodowatym chłodem, jaki od ciebie wieje, wyrazem szeroko rozwartych oczu...

Krzyk z nich leci... niemy krzyk...

Zamknąłeś w sobie tajemnicę wielką, tajemnicę życia i milczysz. Nikt ci nie zdoła jej wydrzeć z pod zaciśniętych szczęk, nikt się nie dowie, ktoś był... Żyłeś... a teraz?...

Byłeś piękny, byłeś młody...

Kości pod przezroczystą niemal rysują się skórą, oczy straciły blask, krew uciekła z warg, zastygła.

Czy szczęście było ci w życiu udziałem, czy radość jasne dawała ci chwile... czy odpoczynkiem będzie ci pieszczota ziemi?...

Nikt ci nie zdoła wydrzeć tajemnicy.

Tajemniczy jesteś i poważny; straszny jesteś w tej powadze śmierci...

— — — — — — — — — — — —

Rozwarła się pod razami kilofów i łopat zmarznięta ziemia i przyjęła go do swojego łona.

Spoczął na dnie wykopanego dołu i znikł pod masą sypiącej się ziemi.

Legł przytłoczony ciężarem błogosławionym na wieczne zapomnienie... Robactwo wkrótce rozpocznie swą pracę i nie pozostanie po nim wkrótce nic, prócz białych kości...

...Gdzieś w dali ścisną się kochające serca, zapłaczą dobre oczy... żal się obudzi, ból i rozpacz... A potem przyjdzie Czas i jak robactwo w łonie ziemi, rozpocznie swą nieubłaganą pracę.

Zatrą się rysy, zabliźnią się rany, wspomnienia zostaną smutne... a potem... Zbledną wspomnienia i pamięć wygaśnie, życie odzyska swe prawa.

— — — — — — — — — — — —

Zazieleniły się pola... słońce miłośnie ogrzało ziemię, zaśmiały się polne łany.

Rozpadł się drewniany krzyż na mogile, ułańskie zniknęło czako... polne kwiecie wzgórek kryje... kwitną bławatki i maki, storczyki i polne lilje, chylą radośnie swe główki, pod wiatru łagodną pieszczotą...

Na kwiatach siadają motyle i pszczoły szukają słodyczy...

Wkoło ptactwa rozhowory, opodal dzieci śmiech... Co za bujne wzrosło kwiecie...

...może który z barwnych kwiatów w sercu twem, ułanie, swym korzeniem tkwi... może ssie twą tajemnicę... On nie zdradzi cię...

KONIEC



Departament wojskowy N. K. N.: Prezydyum: Podpułkownik Wł. Sikorski, szef Departamentu (przy mapie), prof. W. Tokarz, jego zastępca (w mundurze), dr. Stanisław Kot, szef biura prasowego.

Szlakiem Samo-Sierry.

Krwią i śmiercią płaci się za sławę na wojnie. I Legiony polskie znaczą swój ślad bohaterskimi czynami, ale także coraz nowemi mogiłami... Dziś znowu wypada zanotować niezwykły czyn oręża polskiego, przypominający słynną szarżę pod Samo-Sierra — brawurowy atak drugiego szwadronu ułanów polskich na pozycye rosyjskie. Działo się to dnia 13 czerwca pod Rokitną, na pograniczu bukowińsko-bessarabskiem, w pobliżu „pól chocimskich“. Na rozkaz komendy szwadron pod dowództwem rotmistrza Zbigniewa Dunin-Wąsowicza z niesłychaną brawurą i pogardą śmierci rzucił się na potrójne okopy nieprzyjacielskie. Jakby przed mocą nieziemską cofnęły się szybko przeważające siły rosyjskie na drugą linię, ale i tę ułani nasi wydarli wrogom. Dopiero z za trzecich okopów wybuchnął rozpaczliwy ogień rosyjskich dział i karabinów maszynowych. W piekielnym tym ogniu padł pierwszy komendant szwadronu Wąsowicz, a obok niego oficerowie: Jerzy Topór Kisielnicki, Roman Włodek i chorąży Adamski. Z szwadronu, liczącego 70 ludzi, wróciła zaledwie garstka, licząca 20 ludzi. Reszta pomnożyła liczbę rannych lub legła obok swego komendanta — powiększając liczbę bohaterów, co śmiercią swą okryli znów sławą oręż polski.



Szlakiem Samo-Sierry: S. p. Zbigniew Dunin-Wąsowicz, komendant drugiego szwadronu Legionów.

Zanim w najbliższym numerze zamieścimy szczegółowszy opis tego brawurowego ataku wraz z illustracyami, odnoszącymi się do bohaterskiego szwadronu, w dzisiejszym numerze podajemy podobiznę jego komendanta, Zbigniewa Dunin-Wąsowicza, który zginął, jak z krwi i kości potomek dawnych rycerzy pancernych.

Urodzony żołnierz, Wąsowicz zaciągnął się do oddziału Beliny. Po utworzeniu Legionów, wyznaczony został do zorganizowania konnicy drugiego i trzeciego pułku. W tym charakterze przebywał na początku wojny w Krakowie, skąd na czele drugiego szwadronu wyruszył na Węgry i wiódł swych ułanów ciężkim szlakiem walk karpackich, wskrzeszając tradycyjną sławę konnicy polskiej. Walki pod Cucyłowem, Mołotkowem, Pasieczną, Sniatynem, Jezupolem — to świetne karty ostatnich miesięcy jego życia. Nieustraszony żołnierz padł wreszcie na polu chwały, prowadząc z heroiczną odwagą swój oddział do ataku.

Cześć jego pamięci! Cześć pamięci bohaterów!

Departament wojskowy N. K. N.

Społeczeństwo polskie, stwarzając Legiony do walki z Rosyą, uczyniło istotnie wielki wysiłek, podyktowany wiarą w słuszność sprawy i nadzieją w lepszą przyszłość narodu. Z kraju, który stał się terenem najzaciętszych walk i poniósł najdotkliwsze skutki tej wojny, stanęło pod bronią kilkadziesiąt tysięcy ochotnika, a społeczeństwo nie szczędziło ofiar, aby doprowadzić do skutku tę polską organizacyę militarną. Nie było to zadanie tak łatwe w ciężkich warunkach, w jakich znalazł się kraj, zalany przez wroga... Jest to niewątpliwie zasługa Departamentu wojskowego N. K. N., organizacyi, która ma bezpośrednią militarną opiekę nad Legionami... Była to praca ciężka, najeżona najrozmaitszemi trudnościami, które jednak nie odebrały energii jej kierownikom. Legiony poszły w bój i okryły znów sławą oręż polski.



Departament wojskowy N. K. N.: Rekruci zwerbowani do Legionów w Łodzi.

Obecnie Departament wojskowy N. K. N., przeniesiony do Piotrkowa, rozwija w Królestwie Polskiem energiczną działalność, około której skupiają się wszystkie najważniejsze sprawy Legionów — ich cel i owoce, jakie ta krwawa ofiara narodu polskiego ma przynieść.



Departament wojskowy N. K. N.: Biuro werbunkowe Legionów w Piotrkowie.

Duszą tej pracy, prowadzonej poprzednio w Krakowie i na Śląsku, a teraz na terenie Królestwa Polskiego, gdzie rosną wciąż nowe szeregi Legionistów z pośród ludności miejscowej, jest szef Departamentu wojskowego, podpułkownik Sikorski. Ruchliwy, energiczny, a oddany sprawie z młodzieńczym zapałem, zyskał też ogólne uznanie zarówno wśród towarzyszów pracy w Departamencie, jak i wśród Legionistów, przelewających swą krew na polu walki, którzy widzą w nim rzecznika tej sprawy, za którą walczą...

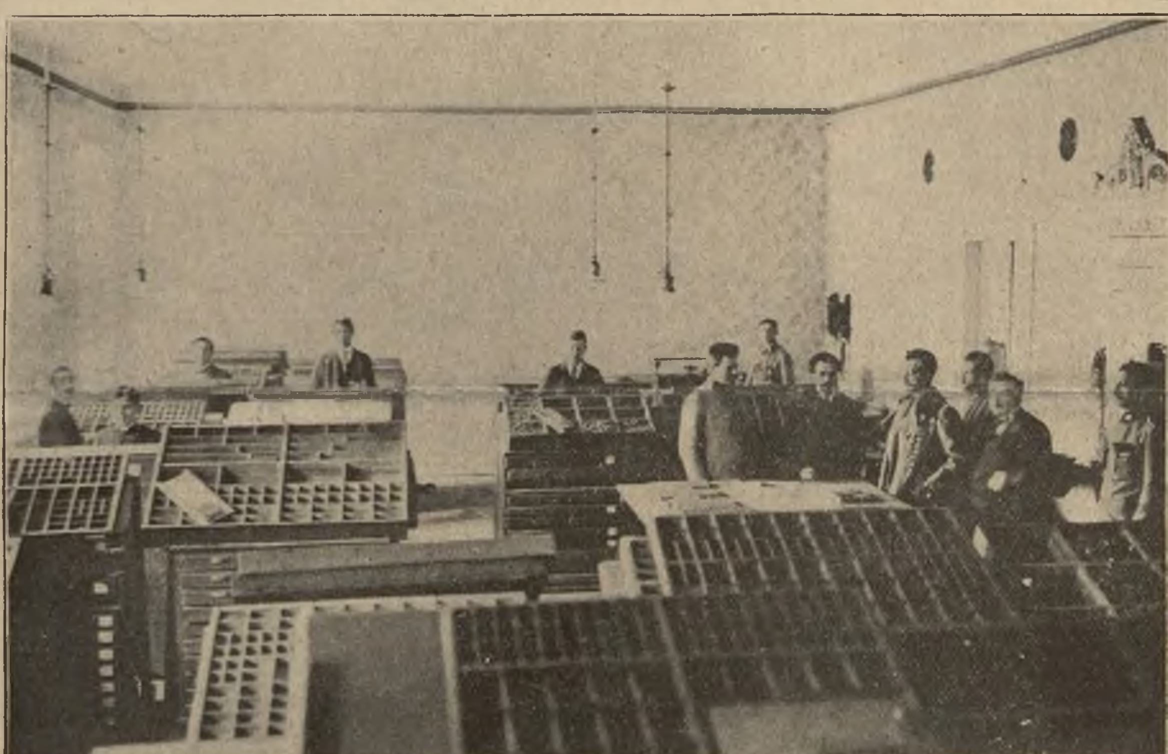
Dla zillustrowania tej pracy organizacyjnej, w szeregu zdjęć, jakie zamieściliśmy już z życia Legionów polskich, w dzisiejszym numerze podajemy szereg illustracyi, dotyczących działalności Departamentu wojskowego N. K. N. na terenie Królestwa Polskiego.



Departament wojskowy N. K. N.: Podpułkownik Sikorski w gronie członków biura prasowego.

Z polskich baraków.

Od samego początku naszego uchodźstwa zwracaliśmy baczną uwagę na życie wygnańców i w licznych numerach „Nowości Illustrowanych“, staraliśmy się przedstawić i tak przekazać potomności to jedyne w swoim rodzaju tułactwo polskie. Po smutnych, przykrych miesiącach zimowych, które czarną rozpacz budziły w sercach wygnańców, z nadejściem maja i czerwca, tych najpiękniejszych miesięcy roku, miesięcy nowego życia — i dla naszych tułaczy jakby promienny świt zajaśniał i obudził uśpioną nadzieję prędkiego powrotu do kraju. Wróg uchodzi z kraju, Przemyśl i Lwów znowu wolne; jeżeli my, w kraju, odczuwamy radość z powodu tych wydarzeń, to cóż za uczucia radości wzbierają w sercach tułaczy, spragnionych widoku swego kochanego kraju, powietrza, gór, chaty własnej. Zdaje się, że będzie się miało ku końcowi wychodźtwo, przynajmniej gros uchodźców powróci, a owe b a r a k i, o których tyle słyszeliśmy, o których tyle pisano, pozostaną wspomnieniem na późne lata. Zanim zamknie się ta historya wygnania, w kilku numerach znowu będziemy obrazować życie w barakach w Choceniu i Leibnitz.



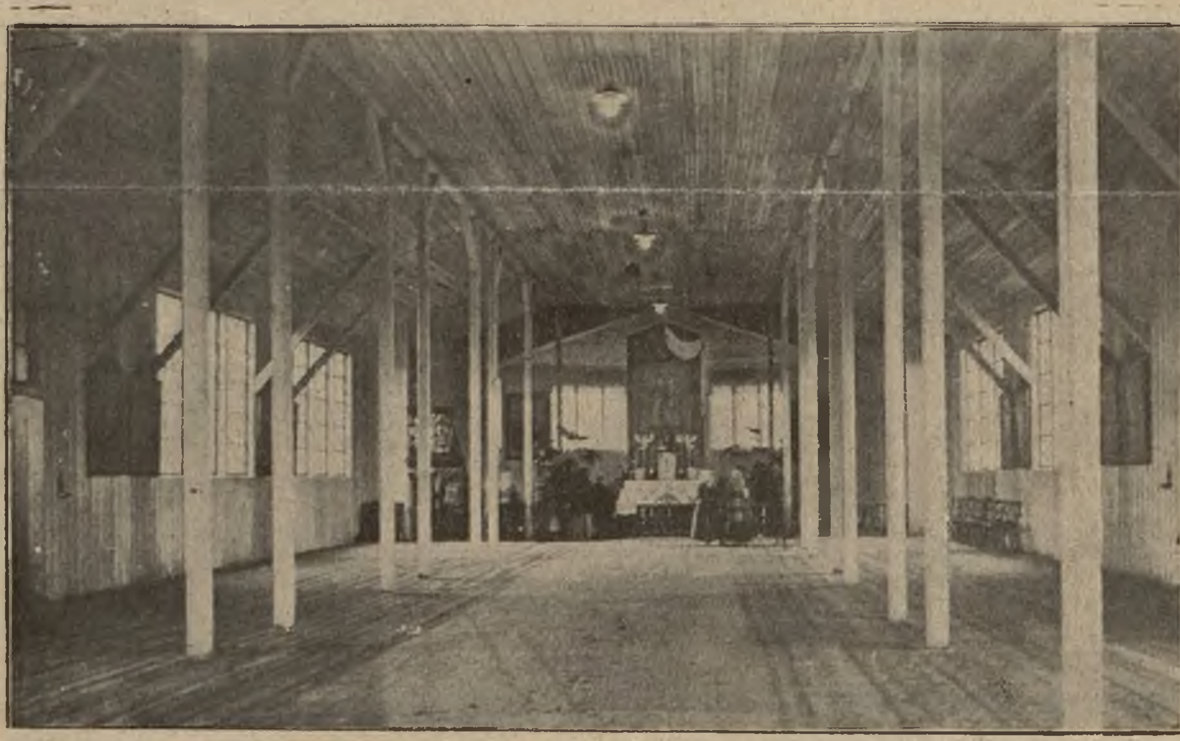
Departament wojskowy N. K. N.: Drukarnia państwowa w Piotrkowie, znajdująca się obecnie pod zarządem Departamentu wojskowego.

Kolonia barakowa w Choceniu najwcześniej powstała, bo już w listopadzie, a dzięki staraniom pełnych poświęcenia osób doprowadzono stan kolonii do tego, iż życie kilkunastotysięcznej (w zimie 20 tys.) rzeszy wygnańców stało się znośnem. Najgorsze były miesiące zimowe i długo pamiętać będą ewakuowani owo „błoto nieprzebrane“ i wilgoć, która dobrze dała się we znaki, a wielu przyprawiła o chorobę i śmierć. W tym smutnym położeniu, w jakiem znaleźli się wygnańcy, największą pociechę stanowił kościół barakowy, bardzo obszerny i miły. Pozostanie w pamięci ludności na zawsze ten kościół, bo tyle wspomnień z nim związanych. Tysiące znalazło tam pociechę i ukojenie wówczas, kiedy rozpacz czarne nasuwała myśli. Przed obrazem Matki Boskiej „Królowej Korony polskiej“ tysiące uprosiło dla siebie niejedną łaskę. Obraz ten, pędzla znanego malarza religijnego ks. proboszcza Neumanna z Kralovego Hradcu, ma ludność za powrotem zabrać do Krakowa; będzie to cenna pamiątka z historyi wygnania i tak spełni ludność ewakuowana swój ślub, iż, jeżeli jej będzie danem szczęśliwie powrócić, Królowej Korony polskiej złoży należne dzięki i Jej obraz umieści w Krakowie i tutaj czcić go będzie.



Departament wojskowy N. K. N.: Podpułk. Władysław Sikorski, szef Departamentu.

Jedyna to jest w swoim rodzaju ta „parafia choceńska“. Parafianie pozbierani prawie ze wszystkich parafii galicyjskich, a jednak zdaje się, jakby z jednej byli parafii, tak wszyscy przykładnie się modlili, jedna wiara ich łączyła i skupiała. Ks. proboszcz Karol Słowianek przywiązał się całem sercem do swych parafian chwilowych, dla nich nie szczę-



Z polskich baraków: Wnętrze kościoła barakowego.



Z polskich baraków: Chór mięszany polski w Choceniu. (X) Pan Mercik, kierownik chóru

dził sił i zdrowia, zawsze gotowy na usługi, a kiedy odjeżdżał na urlop, żal mu było rozstać się z barakami, swoimi parafianami.



Z polskich baraków: Ks. proboszcz Nenmann z Kralovego Hradcu, twórca obrazu w wielkim ołtarzu.

Do pomocy ks. proboszczowi przeznaczył książę biskup ks. Wojciecha Szemika, który zaskarbił sobie prawdziwą wdzięczność wśród ludności. W czasie Wielkiego Postu cały czas siedział w konfesyonale, a gdy choroby porywały liczne ofiary, od rana do nocy, a i nocą także chodził po barakach, by udzielać ostatnich Sakramentów.

Mimo to, że kościół barakowy może pomieścić przeszło cztery tysiące ludzi, jednak okazał się za szczupły i w niedzielę nieraz panował tłok w kościele. Dzięki pracy p. Mercika utworzył się w kolonii chór mięszany, który swojemi produkcyami przyczyniał się do uświetnienia nabożeństw kościelnych.

Może już niedługo poczną wracać do kraju mieszkańcy baraków choceńskich, a wspominając nieraz o swym ośmiomiesięcznym pobycie na tułaczce z rozrzewnieniem wspomną sobie chwile, jakie przeżyli jako parafianie parafii barakowej i z wdzięcznością przypomną sobie tych, którzy w czasach przykrego wygnania stali przy ich boku, z nimi przeżywali dobre i złe chwile i nieśli im pociechę duchowną, by się nie poddawali rozpaczy. *K.*

Z kampanii karpackiej.

Walki w Karpatach będą stanowić niewątpliwie osobną kartę w dziejach obecnej wojny. Tam przeszła chlubnie chrzest bojowy druga brygada Legionów. Tam też wojska austro węgierskie musiały przezwyciężyć niesłychanie trudne warunki terenowe. Ze strony Rosyan chęć sforsowania Karpat i pójście tą drogą na Budapeszt było przedsięwzięciem wprost szalonem. Ale naczelne dowództwo armii rosyjskiej nie szczędzi materyału ludzkiego. Nigdzie może ataki rosyjskie nie były tak zaciekłe, jak właśnie w Karpatach, które też pochłonęły może najwięcej ofiar rosyjskich. Można powiedzieć, że w tych daremnych a tak krwawych atakach armia rosyjska rozbiła całą siłę swej ofenzywy. Karpaty stały się cmentarzyskiem Rosyan, których naczelna komenda słała na niechybną śmierć. Częściowe drobne sukcesy nie pozostawały w żadnym stosunku do poniesionych ofiar, które wobec ogólnego odwrotu Rosyan stały się tylko daremną hekatombą.

W każdym razie długotrwałe mordercze walki w Karpatach stanowić będą osobny rozdział w obecnych tytanicznych zapasach, świadcząc z jednej strony o niesłychanie lekkomyślnem szafowaniu krwią przez kierownictwo rosyjskiej armii, a z drugiej — o niesłychanej wytrwałości wojsk, które furyę ataków rosyjskich przetrwały i przełamały. Jako echo tych walk dajemy dzisiaj zdjęcie obozu „krakowskich dzieci“ (13 pułku p.) w Karpatach.



Z polskich baraków: Ks proboszcz Karol Słowiaczek.



Z polskich baraków: Ksiądz Wojciech Szemik.



Z polskich baraków: Zewnętrzny widok kościoła barakowego.

Szpital wojskowy w Białej.

Zdala od terenu, na którym rozgrywają się obecne wypadki wojenne, na pograniczu Galicyi i Śląska, założono w Białej szpital rezerwowy nr. 3, przeznaczony dla chorych i rannych żołnierzy. Istnieje



Z kampanii karpackiej: Obóz bojowy 13 p. p. w Karpatach.

on od dnia 1 listopada ubiegłego roku, a pomieszczony jest w budynku seminaryum polskiego, nadającym się zupełnie do celów szpitalnych.

Naczelnym lekarzem jest dr. Julian Sroczyński z Białej, ponadto zajęty jest tutaj dr. Fadgyas oraz liczny personal pomocniczy, który od początku pełni swe funkcye bezinteresownie z prawdziwie samarytańskiem poświęceniem.

Urządzenie szpitala, jak wogóle wszystkich tego rodzaju zakładów w Austryi, jest pod każdym względem wzorowe, opieka nader sumienna i staranna, chorzy też, którzy tutaj byli leczeni, nie mają dość słów na wyrażenie wdzięczności tak dla lekarzy, jak i służby pomocniczej.

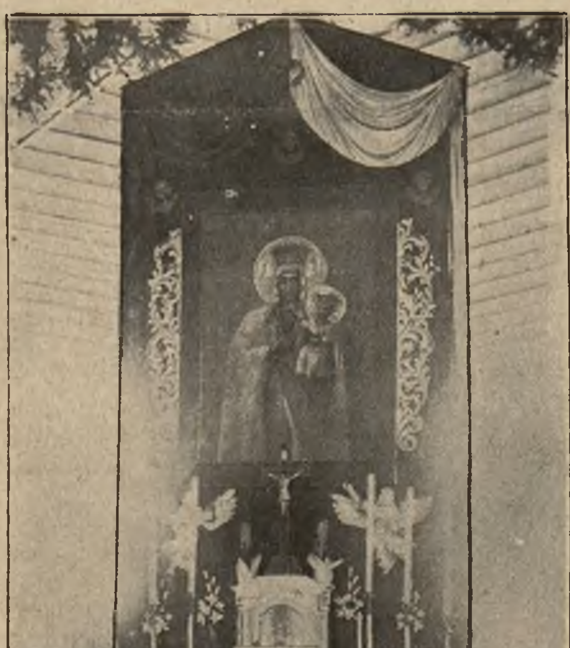
Obowiązeki samarytanek objęły panie z różnych sfer bialskiej publiczności, między niemi znajduje się też i żona burmistrza miasta Białej, pani Schmeja.



Szpital wojskowy w Białej: Personal szpitala nr. 3. z lekarzem naczelnym drem Juliuszem Sroczyńskim (1) w pośrodku. Obok siedzą: (2) notaryusz, dr. Myciński, (3) żona burmistrza miasta Białej, pani Schmeja, (4) lekarz asystent, dr. Fadgyas.

Z życia Polonii na uchodźstwie.

Niezależnie od „Komitetu pomocy dla uchodźców polskich w Galicyi“, który wspiera ich bezpośrednią pomocą materyalną, istnieje w Ołomuńcu przy ul. Piekarskiej l. 12 B. „Kuchnia polska“, założona przez osobny komitet pod przewodnictwem p. Maryi z hr. Komorowskich generałowej Rozwadowskiej. W skład jego wchodzą nadto pp.: Antoni Dręgiewicz i Tadeusz Rozwadowski zastępcy przewodniczącej, Michał Stopnicki skarbnik, Br. Drozdowski sekretarz i zast. skarbnika, St. Dunikowski zast. sekretarza, Fl. Wyrwiczówna bibliotekarka, W. Kasznicówna, jej zastępczyni, oraz pp. A. Dręgiewiczowa, W. Gnoińska i A. Koellerowa, gospodynie.



Z polskich baraków: Obraz Matki Boskiej „Królowej Korony polskiej“ w wielkim ołtarzu.

Komitet kuchni postawił sobie za zadanie przedewszystkiem umożliwić tanie utrzymanie się zubożałej przez wojnę polskiej intelligencyi, nadto udzielać zadarmo obiady uchodźcom, pozbawionym wszelkich środków do życia, a wreszcie stworzyć ognisko, skupiające w sobie żyjącą tu luzem Polonię.

Późno, bo dopiero 21 lutego 1915 roku otwarto „kuchnię“. Poświęcenia uroczystego dokonał ksiądz Wł. Figura 7 marca b. r. Odtąd nie zaniedbano niczego niemal, co przyczynićby się mogło do wzajemnego zbliżenia rodaków.

Do dnia 9 czerwca prócz 5780 obiadów płatnych, wydano 1590 zadarmo, pokrywając koszta tych ostatnich z datków od osób prywatnych, od komitetu pomocy dla uchodźców, bądź z różnych na ten cel urządzanych przedsiębiorstw.

Z inicyatywy i staraniem „Komitetu kuchni“ odbyły się w jej lokalu: 4 kwietnia b. r. „Święcone“, dziewięć odczytów (prof. M. Gonet i Z. Podgórski), siedm zebrań towarzyskich o mieszanym programie (muzyka, gra na fortepianie, na skrzypcach, śpiew, deklamacya, kuplety), a nadto w sali czeskiej Besedy uroczyste zebranie ku uczczeniu rocznicy wiekopomnej Konstytucyi Trzeciego Maja, na którem, prócz licznie zgromadzonych Polaków, było też obecnych kilku zaproszonych gości czeskich.

Na dochód „Kuchni“ odegrało kółko amatorów pod artystycznem kierownictwem Br. Drozdowskiego dnia 28 lutego b. r. w sali Narodnego domu czeskiego melodramat Błotnickiego p. t. „Zagroda Sobkowa“.

Wogóle, w miarę skromnych środków i przy trudnych obecnych warunkach wojennych „Kuchnia“ odpowiedziała, zdaje się, w zupełności przedsięwziętemu zadaniu. Członków liczy 166. Obrót kasowy dosięgnął w sprawozdawczym okresie (od 21 lutego do 9 czerwca b. r.) 22.249 kor. 29 hal. Przez cały dzień (nie tylko w porze obiadowej) gwarno tu i pełno. W jednym pokoju czytają dzienniki i książki, w drugim grają na fortepianie i śpiewają; jedni trawią czas na pogadance, inni na grze w szachy.

Słowem „Kuchnia“ to wielki dom rodzinny, ogniskujący liczną bezdomną rodzinę polską, która, zapominając pod wrażeniem chwili o swojej niedoli, czuje się swobodną i zadowoloną, bo wśród swoich rodaków.



Z życia Polonii na uchodźstwie: Komitet „Kuchni polskiej“ w Ołomuńcu.



Armata na Rynku krakowskim: Tłum ciekawych, oglądających zdobytą pod Przemyślem oblężniczą armatę piętnastocentymetrowego kalibru.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

2

— Biorę na siebie obowiązek wyjaśnienia jej naszego smutnego położenia, a równocześnie przekonam ją, że na szczęście ja jeszcze tu jestem do odbudowania majątku Kermorów.

Markiz, który dotąd przechadzał się elastycznym, wytwornym krokiem po pokoju, stanął na te słowa przed synem. W oczach jego zabłysła nadzieja.

— Chcesz odbudować majątek naszego domu? Jakim sposobem?

— Tam, gdzie byłem... bogactwa są niezliczone i nie wyzyskane.

— Możliwe — przyznał markiz — I jakiegoż czasu będziesz potrzebował na to?

— Pięciu lat przy sprzyjającem mi szczęściu.

W oczach markiza zagasła nagle iskra nadziei, zrodzona przed chwilą.

— To długo... za długo — szepnął rozczarowany — Matka twoja nie zniesie ani jednego roku nędzy... I to z mojej winy. Ha! trudno! Zapłacę sam za to!

Nagły lęk objął duszę Henryka. Spojrzał niespokojnie na ojca.

— Mój synu — rzekł markiz ze spokojem człowieka, który stawia wszystko na ostatnią kartę — wiemy obydwaj, że chwila jest bardzo ważna. Ja jestem dumny, ty zaś posiadasz szlachetne serce. Pomiędzy nami słowa są niepotrzebne. Ja wywołałem to zło, zasłużyłem na ciężkie wyrzuty, wiem to, czynię je sobie bezustannie. Ale teraz zwracam się do ciebie z prośbą, abyś naprawił to zło, które ja wywołałem.

— W jaki sposób?

— Sposób jest uczciwy. Delrue wspominał ci o nim...

— Sydonia? — wyszeptał z trudem młody człowiek.

— Tak.

— Nigdy!

— Dlaczego? Rodzina dobra. Ojciec urodzony bankier, to prawda, ale, jak dotąd, żadna plama nie ciąży na nim. Dziewczyna jest piękna, trochę zarozumiała, ale będzie dekoracyjną panią domu. Pomyśl, że przecież kiedyś ożenić się musisz...

— Ojcze! błagam cię!

— Proszę cię, mów, to konieczne. Czy masz jakie względem tej rodziny zarzuty?

— Nazywają ją „złotą Sydonią".

— Cóż z tego, tem lepiej, że bogata. A ojciec!

— To spekulant, który zarobił na naszej ruinie.

— Jak bankier.

— I żyd!

— Więc cóż?

— I ty, ojcze, o to się pytasz? Ty! nie rozumiesz tego! Ty, który sprzedałeś wszystko, folwarki, lasy, nawet ten pałacyk, w którym mieszkamy! Ty, dawny żołnierz Francyi, nie rozumiesz, że nie wolno mi sprzedać jedynej pozostałości mojej, nazwiska naszego!

Markiz stał bez ruchu, tylko na bladem jego czole wystąpiły grube krople potu.

Henryk na widok wzruszenia ojca opamiętał się natychmiast, ogromna litość dla tego lekkomyślnego, starego człowieka przezwyciężyła żal i oburzenie.

— Ojcze — podjął po chwili, chcąc złagodzić daną odmowę — chcesz wiedzieć, dla jakiej przyczyny odrzucam rękę panny Sydonii? Otóż kocham inną! Tam, w głębi Afryki, gdzie pragnąłem znaleźć zapomnienie, myśl o niej przepełniała mnie całego! Ona jest niczem w oczach twoich, biedna i bez nazwiska! Ale dla mnie jest wszystkiem, bo żyć już bez niej bym nie mógł!

Henryk uczynił to wyznanie, sądząc, że załagodzi obrazę uczynioną ojcu, lecz równocześnie uczuł wyrzuty sumienia, które wskazywało mu, że główną przyczyną odrzucenia związku, mogącego być wybawieniem dla matki i ojca, była nie duma może, ale głęboka miłość, miłość wyłączna i samolubna. Markiz de Kermor przyjął spokojnie tłumaczenia syna, głos jego tylko przybrał twarde, zimne dźwięki, kiedy po chwili odezwał się znowu:

— Przyczyna ta jest już w tej chwili dla mnie obojętna. Czyń, jak chcesz! Czyniłem gorzej, niż ty czynić zamierzasz. Ale nie wiesz jeszcze wszystkiego. Jesteśmy nie tylko zrujnowani zupełnie, nie tylko zmarnowałem majątek własny i matki twojej, ale dziś wieczorem, a jest to termin ostateczny, muszę wypłacić sto pięćdziesiąt tysięcy honorowego długu. To więcej, niż ruina, to honor nazwiska, o które ci tak chodzi.

Henryk, milcząc, blady, wpatrywał się w ojca z przerażeniem.

Markiz spokojnie poprawił monokl i mówił dalej:

— Baron de Bressien dostarczyłby mi tej sumy, gdybym miał prawo jej zażądać. Ale nie mówmy już o tem. Żegnam cię, Henryku. Znajdziesz w biurku moim list z ostatniemi zleceniami.

— Jakto? To ty chcesz się zabić, ojcze? — wykrztusił Henryk z trudem.

— Zuchwałe pytanie! Czy mogłeś sądzić, że tego nie uczynię!? — zawołał markiz dumnie.

Lecz w tejże chwili Henryk zerwał się i podskoczył do ojca, chwytając go silnie za ramię.

— Chodź, ojcze! — wyrzekł z rozpaczliwem postanowieniem — Chodź! Mam kilka słów do powiedzenia baronowi de Bressien i jego córce w twojej obecności.

— Henryku! Co chcesz uczynić?

Spokojny dotąd markiz drżał teraz ze wzruszenia, wpatrzony w syna z uwielbieniem i ojcowską dumą.

— Chodź, chodź, ojcze!

Weszli razem do buduaru markizy; na ich widok nerwowe drganie przebiegło twarz barona, Sydonia, opowiadająca coś z ożywieniem, zamilkła w połowie zdania.

— Panie baronie — odezwał się z powagą Henryk — wybacz mi moją niecierpliwą prośbę, ale chwile mojego powrotu i obecność twoja i córki w domu naszym upoważnia mnie do tego. Panno Sydonio, proszę o rękę pani, za którą daję niesplamione niczem nazwisko mojej matki.

— Henryku, Henryku, co to ma znaczyć? — zawołała zdumiona markiza.

— To znaczy, droga żono — przerwał markiz de Kermor — że twój syn zakochany jest oddawna w pięknych oczach naszej przyszłej synowej i z upragnieniem czeka na jej odpowiedź. Sądzę, że będzie przychylna, usłyszy ją tam w sali recepcyjnej, gdzie mieszczą się portrety naszych przodków. Panie baronie, zechciej podać rękę markizie, ja zaś służę pani, panno Sydonio!

— — — — — — — — — — — —

W chwili, gdy Henryk de Kermor prosił o rękę panny de Bressien, w tym samym pokoju w ukryciu, osłoniętem parawanem, dał się słyszeć lekki okrzyk, nie zauważony jednak przez nikogo. I gdy tam w sali recepcyjnej, w obecności starych portretów swoich pradziadów, młody hrabia czynił ostateczną ofiarę z miłości swojej, ratując honor ojca, tutaj w ciszy, która zaległa buduar, rozgrywał się smutny dramat młodej duszy.

Janina le Brenn słyszała wszystko. Cios był zanadto gwałtowny i nieoczekiwany. W pierwszej chwili osłabła, tracąc świadomość, gdzie się znajduje. Gdy powróciła do przytomności, zupełna ciemność objęła już mały buduar markizy. Nie chciała zaświecić elektryczności, nie chcąc zdradzić swojej obecności. Ale rozkład pokoju znała doskonale. Powstała więc i zapaliła świecę stojącą na kominku. Poczem usiadła przed biurkiem markizy i długą chwilę trwała w bolesnem zamyśleniu.

— Skończyło się wszystko — szepnęła w końcu — Skończył się mój sen złoty! Szalona byłam, mogąc choć na chwilę łudzić się i poddawać bezowocnym marzeniom. A jednak zdawało mi się. Zapomniałam, że hrabia de Kermor nie może poważnie myśleć o biednej robotnicy, przygarniętej przez jego matkę. On ją kocha! A ja? ja? Czyż zdołam przenieść to nieszczęście? — Wsparła głowę na oparciu fotela i płakała cicho, konwulsyjnie.

Dźwięk zegara, wydzwaniającego pierwszą godzinę, powrócił jej świadomość, gdzie się znajduje.

— Niemam prawa płakać w tym domu — wyrzekła z mocą — i nie powinnam tu dłużej pozostać.

Wyciągnęła z szuflady ćwiartkę papieru i pisać poczęła:

„Pani markizo!

Była pani zawsze tak względną i dobrą dla mnie, że łudzę się nadzieją, iż wybaczy mi pani odejście z jej domu bez pożegnania. Błagam tylko panią, nie sądź, że trafiłaś na niewdzięczną istotę. Jeżeli czynię to, to zmuszona poważnemi przyczynami, których wyjawić nie mogę. Dla tychże samych przyczyn będę zmuszona opuścić mój pokoik w dzielnicy Temple. Jest to postanowienie powzięte od kilku dni, a które kosztowało mnie wiele łez i cierpienia. Do ostatniej chwili życia mojego pamiętna będzie mi dobroć pani, która raczyłaś obchodzić się ze mną, jak z córką rodzoną. Żegnając Cię pani, błagam o przebaczenie i przekonanie o mojem pokornem przywiązaniu i wdzięczności.

Janina le Brenn.

Zalepiła kopertę i pozostawiła w widocznem miejscu, następnie ubrała się pospiesznie, wzięła z kominka maleńki kluczyk, którym otworzyła szklane drzwi, prowadzące do ogrodu. Gdy przechodziła już próg domu, w którym tyle doznała radości i szczęścia, opanowała Jankę chwilowa słabość i rozpacz. Lecz wkrótce przezwyciężyła szalony ból, nurtujący jej serce i nie oglądając się już poza siebie, prędko wybiegła do ogrodu.

Wydostawszy się dopiero na ulicę, osłabiona, bezsilna, wsparła się o mur okalający pałac i wybuchła spazmatycznym płaczem.

Na ulicy.

W czasie, w którym Janina le Brenn opuszczała na zawsze pałac Kermorów — Luiza Rieux przebiegała nerwowo pokoik swój, przeżywając po raz setny w myślach wypadki ostatnich miesięcy.

Widziała z dokładną wyrazistością ładny pawilonik przy ulicy Sepic, zajmowany przez ojca, byłego komendanta o surowej postawie i łagodnych oczach i babkę staruszkę, opiekującą się nią od śmierci matki. Widziała siebie, młodą, poważną dziewczynę, oddaną z całem zamiłowaniem nauce, dzielącą czas pomiędzy pensyą a domem, gdzie tak kochano ją i pieszczono.

A teraz?

Wstręt obrzydzenia wstrząsnął jej postacią. Zamknęła oczy, aby nie widzieć ścian tego pokoju, który był świadkiem jej upokorzenia i wstydu. Postanowiła pójść stąd jak najprędzej. Dotknięcie przedmiotów należących do człowieka, za którym poszła w pierwszym popędzie szalonej miłości — przejmowało ją wstrętem i odrazą.

Ale gdzie pójść i jak żyć dalej?

Za młoda, za silna jeszcze była, aby ten pierwszy cios, zadany jej dziecinnej wierze i ufności, mógł zdruzgotać ją zupełnie. Chciała żyć, odrodzić się, odkupić ten pierwszy lekkomyślny błąd młodości! Wewnętrzną jakąś siłą kierowana, ubrała się szybko i wyszła na ulicę, i tu dopiero przeświadczenie samotności swojej i opuszczenia objęło ją całą mocą. Sama wśród nocy, wśród pustych ulic tego wielkiego, prawie nieznanego miasta!

Nie wiedziała, jakim sposobem znalazła się na ulicy Sepic. Czuła tylko, że jest blizko swoich, blizko tego domu, który teraz stał się obcym dla niej.

Szybkiem spojrzeniem obrzuciła okna pierwszego piętra, gdzie mieścił się jej pokój babki i jej sypialnia, okna były ciemne. Ale na dole w kancelaryi ojca świeciło się jeszcze. To ojciec czuwał.

Luiza nie zdawała sobie sprawy z uczucia, jakie ją ogarnęło. Nieobliczalnym ruchem skoczyła naprzód i silnie nacisnęła guzik od dzwonka. Dźwięk dzwonka otrzeźwił ją i nagle ogarnął ją szalony przestrach i niemoc.

Ale już było za późno cofać się, nogi jej osłabły, tak, że już nie mogła kroku postąpić. Drzwi otworzyły się. Na progu stanął komendant Rieux z lampą w ręce. Luiza zauważyła, że krótko strzyżone jego włosy były zupełnie białe. Komendant postawił lampę na małym stoliczku przy wejściu i przenikliwie, zimno wpatrzył się w córkę, twarz jego pobladła, a ręce drżały gorączkowo. Po chwili ciężkie westchnienie wyrwało się z jego piersi. Przemógł wzruszenie i zapytał cichym, spokojnym głosem.

— Czego tu żądasz?

Luiza zadrżała. Prawdziwy obraz nieszczęścia przedstawił się jej teraz dopiero w całej pełni. Mówiono do niej jak do obcej, jak do intruza, chcącego zakłócić spokój cichego domu.

Z pobladłych jej warg wybiegł szept rozpaczliwy.

— Ojcze! Przebaczenia i litości! Nie patrz tak na mnie. Powracam do was, niegodna ciebie, ale tak nieszczęśliwa! Nie wiedziałam, co robię! Posłuchaj! Spotkałam tego człowieka i pokochałam go... wierzyłam w niego... Później, później dopiero, okropna prawda...

— Nazwisko jego?

Uczepiła się konwulsyjnie jego ręki i błagalnemi oczami wpatrzyła się w tę twarz surową, naznaczoną cierpieniem.

— Nazwisko jego? Odpowiadaj!

Nie znała go! Nie znała! Nazywała Andrzejem, oto wszystko.

Płomień wściekłości rozbłysnął w oczach komendanta i grube żyły wystąpiły na jego czoło. Brutalnie odepchnął córkę od siebie.

— Ojcze! zlituj się!

— Nazwisko tego nędznika!

— Nie wiem, nie wiem! Ojcze, nie przeklinaj! Już się skończyło! Już się wszystko skończyło!

Odwrócił głowę nieprzytomny z gniewu i wstydu i nagle ramię jego wyprężyło się silnym rozkazującym gestem.

— Precz! Precz z mego domu! Nie chcę cię znać! Głos jego stłumiony, ochrypły, przechodził w jęk spazmatyczny.

— Precz, nędznico!

Silne ramię popchnęło ją na ulicę. Lecz w tejże chwili z górnego piętra dobiegł ją krzyk rozpaczliwy. W głębi przedpokoju ukazała się postać staruszki, drżąca i wylękniona.

— Boże mój drogi! — zawołała wzruszona — zdaje mi się, że poznałam głos naszej małej. Co się tu stało?

— Co się stało, matko! — odpowiedział komendant głosem już zrównoważonym i spokojnym — Stało się, że od tej chwili nie mamy dziecka, a na ulicy będzie o jedną dziewczynę więcej. — I drzwi zatrzasnęły się z głuchym łoskotem.

Luiza z trudem podniosła się z chodnika, w mózgu czuła chaos graniczący z szaleństwem. Wpatrzyła się upornie w dom, który na zawsze zamknął się dla niej, poczem z dreszczem lęku i zgrozy spojrzała na ulicę tego miasta, które miało odtąd być jedynem jej schronieniem.

— Jestem na ulicy! Na ulicy! — powtarzała bezładnie, idąc wzdłuż ciemnych i cichych domów, prosto przed siebie, bez celu!

Morderca.

Andrzej Delrue szedł ulicą Vinaigriers, pustą o tej porze nocy.

Przy ujściu starego kanału, skręcił w boczną uliczkę, wąską i ciemną. Zatrzymał się przed nizkim, odrapanym domkiem, nad którym wisiał wypłowiały szyld, oświetlony czerwonawem światłem latarki. Był to „Hotel Ambasadorów". Delrue wszedł do tego domu pewnym, śmiałym krokiem. Gdy wyszedł z niego po godzinie, towarzyszył mu człowiek o podejrzanej powierzchowności, w kaszkiecie nasuniętym na oczy. Szyję miał okręconą szerokim, czerwonym fularem.

Obydwaj mężczyźni skierowali się w stronę dzielnicy Temple. O kilkanaście kroków przed nimi szła ociężałym, zmęczonym krokiem smukła postać kobieca, wyglądająca na robotnicę powracającą z późnej roboty.

— No, a wiele ja zarobię, mój mały? — zapytał nagle grubym, powolnym głosem towarzysz Andrzeja Delrue. — Taka robota płaci się dobrze.

— Cicho bądź, Kudłaczu — szepnął Delrue, wskazując kobietę idącą przed nimi.

— Dobrze, pogadamy później. Ale wiesz, to musi być jasne jak złoto, bo inaczej nic z tego. Z rączki do rączki, rozumiesz, równa zapłata.

— To tutaj — rzekł po chwili milczenia Delrue — na rogu ulicy Maur. Ten dom.

Nagle przystanął zaniepokojony. Młoda kobieta zatrzymała się właśnie przed domem wskazanym i dzwoniła. Delrue, pochylony naprzód, całą siłą natężenia patrzał, chcąc spojrzeniem przebić ciemność nocy. Po chwili ostrzegająco położył rękę na ramieniu Kudłacza. Młoda dziewczyna odwróciła się i blask latarni stojącej przed domem oświetlił jej twarz. Delrue stłumił w sobie okrzyk zadowolenia.

— A to szczęście! To właśnie ona! Panna Janina le Brenn naraża się na niebezpieczeństwa, chodząc tak sama po nocy, nie uważasz, Kudłaczu! No, dalej nie namyślaj się! To ona!

Włóczęga szybkim ruchem włożył rękę do kieszeni i wyjął przedmiot jakiś błyszczący. Już miał skoczyć ku wskazanej mu ofierze, gdy przypomnienie jakieś zatrzymało go w miejscu.

— Ależ idźże — mruknął Delrue — Niema wątpliwości! To ona! Prędko, bo drzwi otworzą!

— Wiele? — odpowiedział Kudłacz. — Nie ruszę się, póki się nie dowiem, czy gra warta świeczki. Taki kawałek to grozi „wdową", wiesz? Stawiam własną głowę.

— Dwa tysiące.

— Mało!

— No, więc trzy.

— Dobrze! Już zrobione.

Zebrał się do skoku i rzucił naprzód. Ale już było zapóźno, drzwi otworzyły się, przepuszczając młodą dziewczynę i zatrzasnęły przed nosem mordercy, który zaklął z wściekłości.

— Przegrane na ten raz — mruknął przez zęby — Spróbujemy raz jeszcze. Mam czas!

Powrócił do towarzysza, który nie mógł przez kilka minut głosu wydobyć z gardła, zaciśniętego wzruszeniem.

— Widziałeś ją dobrze? Poznasz? — wyszeptał wkońcu z trudem.

— Niebardzo.

— To nie. Czekajmy dnia. Chciałem ci tylko dom wskazać. Jak tylko rankiem wyjdzie, pójdziemy za nią i będziesz mógł się jej przypatrzeć do woli.

— A no, to czekajmy... Ale sam sobie jesteś winien. Targujesz się, jak żyd! Jaka płaca, taka praca!

— — — — — — — — — — — —

Janka le Brenn, znalazłszy się w swoim pokoiku, zapaliła świecę i usiadła na łóżku. Nie płakała już, tylko od czasu do czasu dreszcz nerwowy wstrząsał jej wątłem ciałem. W mózgu jej kołatała się tylko uporczywie myśl jedna! Opuścić jak najprędzej zajmowane dotąd mieszkanie i zniknąć wszystkim na zawsze z oczu, w tem olbrzymiem mieście, nie pozostawiając za sobą żadnych śladów. Żałowała teraz, że ulegając pierwszemu wrażeniu, napisała do markizy de Kermor, bo jeżeli markiza odgadnie powód jej nagłego zniknięcia? Jeżeli Henryk o tem się dowie? A może markiza będzie chciała ją odszukać, przyjdzie do niej sama i wyczyta z jej oczu tajemnicę, którą tak gorąco pragnie ukryć przed światem? Nie miała innego wyjścia, tylko schronić się do innej, oddalonej dzielnicy, gdzie jej nikt nie będzie mógł odnaleźć.

W dzielnicy Chateau-d'Eau zauważyła, przejeżdżając omnibusem, nowy, czysty domek z wystawioną tabliczką „skromne pokoje do wynajęcia". Tragarz na wózek zabierze jej nieliczne mienie i już będzie spokojna.

Postanowienie to dodało jej otuchy. Zerwała się z łóżka i zaczęła składać i zbierać porozstawiane drobiazgi i rzeczy.

Na małej komodzie, oprawne w pluszowe ramki, stały fotografie jej zmarłych rodziców.

Wzięła je w ręce i nagle ogarnęło ją tak silne wzruszenie i żal za nimi, iż osłabła rzuciła się bezwładnie na krzesło, łkając cicho. Postać ojca, Iwona le Brenn, mechanika okrętowego, który zginął na morzu, jak żywa stanęła teraz przed oczyma jej wyobraźni. Jakże długo opłakiwały go z matką, łagodną i cichą istotą, którą wkońcu zmogły cierpienia i łzy. Pamięta, gdy powróciwszy raz z cmentarza, usiadła na progu domku swojego, jedynej pozostałości po rodzicach, i płacząc gorzko, usłyszała łagodny głos mówiący do niej:

— Biedne dziecko! Biedna sierota!

Podniosła oczy. Przed nią stała pani ze zamku, markiza de Kermor, którą cała okolica uwielbiała za dobre serce i dobrodziejstwa, udzielane ubogim.

Zabrała ją z sobą do Paryża, gdzie początkowo umieściła w magazynie haftów ręcznych, a następnie zatrudniła u siebie w pałacu. Wkrótce stała się powiernicą, prawie przyjaciółką markizy. Jednakże Janka z wrodzoną jej dumą sama pragnęła zaznaczyć przedział dzielący ją, biedną robotnicę, od właścicieli pałacu i pomimo nalegań swojej opiekunki, zamieszkała osobno. Janka przeprowadzając ten zamiar, powodowała się i drugą przyczyną. Od pierwszej chwili przybycia do pałacu zauważyła, że młody hrabia Henryk zwraca się do niej z szczególniejszą sympatyą i zainteresowaniem, a odkrycie to napełniło ją instyktownym lękiem, tembardziej, iż czuła, że urok, jaki wywiera na nią syn markizy, wzrasta z dniem każdym.

Upłynęło kilka miesięcy, potem nastąpił wyjazd Henryka do Afryki, oczekiwanie w tęsknocie skrytej i niepokoju, a teraz nagły jego powrót i tak okrutne rozwianie wszystkich jej marzeń serdecznych, które było równoczesnie nagłym objawem miłości, wybuchającej z całą potęgą i siłą. Szary dzień, zaglądający przez okno, obudził ją z bolesnego marzenia. Budzik wskazywał już godzinę ósmą. Markiza de Kermor mogła lada chwila przysłać z zapytaniem o nią. Ubrała się spiesznie i zeszła na ulicę, skąd udała się do dzielnicy, gdzie znajdował się zauważony przez nią domek. Wynajęła pokoik i w godzinę później zawołany tragarz przeniósł jej rzeczy wraz z maszyną do szycia i komódką, pamiątką po matce.

Było to całe jej bogactwo, bo gdy opłaciła należytość za mieszkanie i przeprowadzenie, spostrzegła, że pozostaje jej zaledwie piętnaście franków w portmonetce.

Oszczędności swoje kilkomiesięczne, do których od czasu do czasu markiza dyskretnie dodawała parę sztuk złota, pozostały w pałacu zapomniane, złożone w biurku jej opiekunki. Jednakże trzeba było żyć dalej i znaleźć czemprędzej jakie zajęcie. Nie zwlekając, urządziwszy na prędce pokoik, Janka wybrała się na poszukiwanie. Na rogu jednej uliby przeczytała ogłoszenie: „Szycie wyprawek i bielizny, ulica Temple nr. 78. — poszukuje się zręcznych pracownic dziennych i wieczornych".

Serce Janki zabiło radością, wiedziała, że jest dobrą i zdolną pracownicą, a wieczornego czuwania nie obawiała się wcale. Pobiegła więc szybko w stronę ulicy Temple.

— — — — — — — — — —

Gdy powróciła, dwóch mężczyzn stanęło przed domkiem, przez nią zamieszkałym. Był to Andrzej Delrue i Kudłacz, którzy śledzili ją od pewnego czasu.

— Widziałeś ją dobrze? — zapytał Delrue — Teraz nie mógłbyś się już pomylić.

— Bądź spokojny! Sprawa twoja jest pewna!

— Za trzy dni przyniosę ci trzy ładne banknoty.

— Za trzy dni! Widzę, że ci bardzo pilno! Ale niech tam. Wezmę do pomocy Barykadę.

— Co to za jeden? — zapytał niespokojnie Delrue — po co go mieszać w nasz interes?

— Barykada z kanału, to postrach całego przedmieścia św. Mateusza, mój kolega. Ja bez niego nic nie zrobię, żebyś wiedział!

Delrue był niezadowolony z tego drugiego wspólnika.

— No, decyduj się prędko — rzekł Kudłacz — właśnie nadchodzi, doskonale się składa.

Na rogu ulicy ukazał się człowiek olbrzymiego wzrostu i postawy. Szeroką, czerwoną twarz jego okalał gęsty, rudy zarost. Szedł wielkimi krokami, ciężko stawiając nogi na asfalcie. Obok niego biegł mały, nędzny chłopak, w wystrzępionych spodniach i dziurawych butach, trzęsąc się i kuląc od zimna.

Delrue spojrzał uważnie na przybywającego i zaniepokoił się jeszcze bardziej.

— A! niech się dzieje co chce! — westchnął. — Zgoda, Kudłaczu, bierz go do spółki.

— Dołożysz dwa papierki.

— Dobrze.

— I przyniesiesz je w piątek wieczorem do Ambasadorów. Inaczej źle może być z tobą, pamiętaj! Z Barykadą żartów niema.

Po oddaleniu się Andrzeja Delrue, Kudłacz z Barykadą ruszyli brzegiem kanału.

— Toto — rzekł Kudłacz, popychając chłopca naprzód — uważaj na policyę. Mam do pomówienia z kolegą.

Nocna napaść.

Delrue przeżył trzy dni w śmiertelnej trwodze i oczekiwaniu. Widok dzienników napawał go nerwowem drżeniem, ale jak dotąd nie wyczytał w nich fatalnej, a radosnej wiadomości. Delrue był wściekły. Czyżby Kudłacz stchórzył w ostatniej chwili?

Gdy nadszedł piątek, wieczorem uczuł, że gorączka niezdrowa pali jego ciało. Kiedy opuszczał pałac Kermorów z radosną ulgą, że za parę godzin dowie się o wszystkiem, Henryk zatrzymał go w przedpokoju i rzekł z nienaturalną wesołością.

— Andrzeju! Musisz mi poświęcić noc dzisiejszą. Zabieram cię z sobą. Zjemy razem obiad w restauracyi, a potem zwiedzimy zapomniane już przezemnie zakątki Paryża. Chcę skorzystać z krótkiej mojej wolności.

— Ho! ho! Co za zamiar chwalebny! — zaśmiał się z przymusem Delrue.

Ah! mój drogi — rzekł nerwowo Henryk — byłem badaczem sfer południowych, dlaczegóż nie mam zbadać tajemnic tego nocnego Paryża i czynić poszukiwań w miejscach nieznanych mi i niebezpiecznych.

Byli już na ulicy i Delrue z boku przypatrywał się zmienionej twarzy przyjaciela. Udana jego wesołość nie oszukała go.

— Cierpi! — pomyślał — A więc dobrze, kochany Henryku, ale pozwolisz, że ja będę twoim przewodnikiem.

— Andrzeju! — odpowiedział gorączkowo młody hrabia. — Chcę być na balu w Montmartre, na tych balach...

— Bywała często panna Janina le Brenn, tak, to ciekawy widok. Typowy bal gryzetek, robotnic i studentów.

— Mówiłeś mi również, że na brzegach kanału znajdują się nocne kawiarnie.

— Miejsce nie jest bezpieczne. Znane z nocnych napaści.

— Mam kutą laskę, to mi wystarczy. Słuchaj Andrzeju! — szepnął Henryk, nie panując już nad sobą. — Ty wiesz, kogo tam szukać pójdziemy, domyślasz się? Od kilku dni żyję w straszliwej męce! Nie chcę sobie źle tłomaczyć nagłego zniknięcia Janiny le Brenn... a jednak, gdy pomyślę o tem, co mi raz mówiłeś, że ona tam chodziła, że...

— Ależ, Henryku, powiedziałem ci tylko, że widziałem ją raz tańczącą na balu w Halach. Oto wszystko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon wielkiego artysty.

Sztuka polska poniosła bolesną stratę. Bezlitosna śmierć wydarła z pośród żywych Józefa Brandta — jednego z najznakomitszych przedstawicieli polskiego malarstwa, który skarbiec polskiej kultury artystycznej wzbogacił klejnotami swego talentu, a sławę imienia polskiego rozszerzył wśród obcych.

Nestor artystów polskich, Józef Brandt urodził się dnia 11 lutego 1841 roku w Szczebrzeszynie (w ziemi lubelskiej). Ukończywszy instytut szlachecki w Warszawie, wyjechał na dalsze studya do Paryża, gdzie zetknąwszy się z Juliuszem Kossakiem, pod jego kierownictwem rozpoczął pierwsze studya artystyczne.

Po krótkim pobycie w kraju wyruszył Brandt na dalsze studya do Monachium, które też sobie obrał jako stałą siedzibę, gdy w roku 1866 otworzył tam własną pracownię. Odtąd zaczęły wychodzić z niej nieprzerwanym szeregiem dzieła znakomite, arcydzieła porywające żywiołową siłą talentu, niewyczerpaną fantazyą kompozyi i bogactwem kolorytu. Nie wielu artystów wydało z siebie tyle dzieł monumentalnych, co Józef Brandt.

Twórczość artysty ogarnęła dawną Polskę, z całym jej kolorytem, z jej rycerskim ludem, z całym nastrojem odrębnego, rasowego sentymentu. Wszechświatowa sława Brandta, podpisującego się na swych obrazach zawsze: „Józef Brandt z Warszawy", rozniosła szeroko jego imię, wywołując wszędzie szacunek dla sztuki polskiej. Sława ta stała się jednak powodem, że większość jego arcydzieł zakupiły muzea zagraniczne, galerye angielskie, amerykańskie i t. d., a w Polsce pozostała ich część, niestety, stosunkowo bardzo mała.

Już w roku 1867 obraz Brandta „Chodkiewicz pod Chocimem" figuruje na wystawie powszechnej w Paryżu. We dwa lata później otrzymuje artysta nasz na wystawie w Monachium złoty medal pierwszej klasy za portret Strojnowskiego, a w roku 1873 order Franciszka Józefa za „Odsiecz Wiednia". Niepodobna wyliczyć wszystkich odznaczeń, jakie otrzymał Brandt w uznaniu jego talentu. Niesposób również wyliczyć wszystkich jego dzieł, rozrzuconych po całym świecie, w muzeach i na dworach monarchów. Można jedynie wspomnieć o najznakomitszych, do których należą: „Zawieja śnieżna", „Napad", „Wieś podolska", „Walka Tatarów", „Pochód z łupami", „Czarniecki pod Koldyngą", „Epizod z wojen szwedzkich", „Pochód Zaporożców", „Modlitwa", „Spotkanie", Bitwa pod Wiedniem", „Walka o sztandar", „Wyjazd Sobieskiego z Willanowa" i wiele innych.

Pracownia Józefa Brandta w Monachium była ogniskiem sztuki polskiej w tem środowisku artystycznem. Mistrz, zawsze młody duchom, otaczał się tam stale młodzieżą artystyczną, darząc ją radą, pomocą i opieką. Mieszkając stale w Monachium, wakacye przepędzał corocznie w umiłowanym „kącie" swojskim, pod ojczystem niebem, w Orońsku pod Radomiem. Tam też zaskoczyła go wojna i tam też, na ziemi ojczystej, ułożył się do snu wiecznego.

Uroczystość połączenia Podgórza z Krakowem.

Wielki Kraków jest nim już rzeczywiście, odkąd i Podgórze wcielonem zostało faktycznie w jego skład, co miało miejsce już w dniu 1. lipca b. r., gdy miasto Kraków objęło w zarząd przyłączoną gminę. Uroczysty obchód przyłączenia odbył się w najbliższą niedzielę, to jest w dniu 4 lipca.

O godzinie ósmej rano na „Trzecim moście" na Wiśle, przystrojonym pięknie chorągwiami o barwach narodowych, festonami i kwiatami, zebrała się Rada miejska podgórska z posłem Maryewskim na czele, urzędnicy magistratu i zaproszeni goście, oraz tłumy ciekawych. Spotkanie z krakowską Radą nastąpiło na środku mostu, gdzie obaj burmistrze wygłosili okolicznościowe mowy, poczem na zaproszenie dra Lea wspólnie udano się udekorowanymi wozami tramwajowymi do Krakowa.

W kościele Najśw. Panny Maryi odprawił J. E. książę biskup Sapieha uroczystą mszę św. na intencyę obu miast. W prezbiteryum zasiedli dostojnicy duchowni i świeccy, oraz cechy ze sztandarami, resztę kościoła zajęły tłumy publiczności.

Po nabożeństwie, Rynkiem, ulicą Grodzką i Franciszkańską, które były udekorowane chorągwiami, udano się do również wspaniale przystrojonej sali obrad Rady miasta Krakowa na uroczyste posiedzenie. Na trybunie prezydyalnej zajął miejsce prezydent Leo, obok niego wiceprezydenci Nowak i Kostanecki, oraz były burmistrz Podgórza, poseł Fr. Maryewski. Pomiędzy gośćmi znaleźli się przedstawiciele duchowieństwa, wojskowości, namiestnik Korytowski, delegat Wydziału krajowego, dr. Jahl, naczelnicy urzędów rządowych i autonomicznych, członkowie Rad miasta Podgórza i Krakowa, urzędnicy obu magistratów i przedstawiciele prasy.

Wygłoszono cały szereg mów, podnosząc znaczenie tego doniosłego faktu dla obu miast i życząc Wielkiemu Krakowowi dalszego rozwoju na chwałę polskiej Ojczyzny. Przemawiali dr. Leo, poseł Maryewski, namiestnik Korytowski, posłowie Jahl i Maiss, radca Sołtysik i inżynier Rolle.

Na zakończenie uroczystości dr. Leo zawiadomił o uchwale, mocą której postanowiono ogłosić konkurs na historyę Krakowa, oraz przeznaczono ku uczczeniu tej doniosłej dla miasta chwili pięćdziesiąt tysięcy koron na wsparcia dla bohaterskich inwalidów, pochodzących z Krakowa, a należących tak do armii, jako też i do Legionów.



Z oswobodzonej Galicyi: Uszkodzony dom w Krośnie.

Armata na Rynku krakowskim.

(Do illustracyi na stronie 10).

W dniu, w którym nadeszła do Krakowa radosna wieść o odzyskaniu Lwowa i gwałtownem cofaniu się Moskali na całej linii, ustawiono, jak już wspominaliśmy w poprzednim numerze, na Rynku krakowskim, tuż obok pomnika Mickiewicza, zdobytą pod Przemyślem oblężniczą armatę piętnastocentimetrowego kalibru.

Od wczesnego ranka do późnego wieczoru oglądały ją tłumy ciekawych, odczytując rosyjskie na niej napisy, które podawały jej rodowód, to jest nazwisko fabryki, gdzie ją sporządzono i wagę. Nie jest ona ani w połowie tak wielką, jak „gruba Berta" niemiecka, lub choćby nasz „gruby wujek", mający wylot o trzydziesto i pół centimetrowej średnicy, w każdym razie daje już pewne pojęcie, jak wyglądają tegoczesne artyleryjskie kolosy.

Obecnie usunięto ją już z Rynku, prawdopodobnie przewieziono zostanie do wiedeńskiego arsenału, przy którym znajduje się muzeum wojenne, gdzie pomieszczone są trofea, zdobyte przez armię austryacką.

Kronika tygodniowa.

Podgórze zniknęło więc z horyzontu, wcielone w skład Wielkiego Krakowa, a pogrzeb jego odbył się w dniu 4 lipca 1915 roku, to jest akurat w lat dwadzieścia pięć od owej chwili, gdyśmy składali na Wawelu zwłoki Adama Mickiewicza na wieczny spoczynek.

Aneksyi dokonano bardzo spokojnie, bez krwi rozlewu, lał się tylko szampan i strzelały korki, na moście zaś trzecim, łączącym oba miasta, znalazło się w dniu tym uroczystym tyle wielkości, iż groził zawaleniem, dzięki jednak Najwyższemu skończyło się tylko na strachu.

Dokładnego sprawozdania z obchodu składać Czytelnikom nie będę, znają przebieg uroczystości z codziennych pism, zresztą przyznam się z ręką na sercu, że tam nie byłem, gdyż mnie zapomniano zaprosić! Żałuję zaś zwłaszcza tego, że nie należałem do owych dwustu wybranych, którym danem było pokrzepić się śniadaniem na koszt miasta i na jego koszt ugasić pragnienie. Na dwieście bowiem osób obliczoną była stypa pogrzebowa, urządzona sumptem trzech tysięcy koron, wobec czego na głowę, a raczej na każdy żołądek przypada koron piętnaście i o tyle właśnie mam pretensyę do komitetu, który mnie pominął, ale może to jeszcze naprawić, przeznaczając mi relutum odpowiednie w gotowiźnie.

Aż do tego czasu wstrzymuję się więc z wypowiedzeniem swych zapatrywań na znaczenie tego faktu tak dla Krakowa, jakoteż i Podgórza, które z wolnego, królewskiego miasta stało się dzielnicą Wielkiego Krakowa i przeszło pod panowanie najmiłościwiej rządzącego nami Juliusza I.

Celem upamiętnienia tej historycznej chwili ma być podobno zaprowadzone w krakowskim magistracie trzyrazowe urzędowanie, to jest do obecnego dwurazowego przybędzie jeszcze czas od jedenastej w nocy (wówczas zamyka się z rozporządzenia komendy lokale publiczne) do czwartej rano. Ta pora będzie przeznaczoną na załatwianie spraw nie znoszących światła dziennego i gorąca dajmy na to n. p. wyborczych. Na dwunastą w nocy przypadnie godzina duchów, przeznaczona na audyencye dla ś. p. nieboszczyków, mających zamiar wziąć osobisty udział w akcyi wyborczej do rady miejskiej, sejmu, parlamentu i t. d., a właśnie wszystkie te ciała są obecnie rozwiązane.

Gorąco zaś dokucza nam w całej pełni, wody we Wiśle, a tem samem i w miejskim wodociągu coraz mniej, z rozpaczy chodzę już stale z laską, a nie z parasolem, sądząc, że w ten sposób może uda mi się deszcz sprowadzić.

Rozpoczęły się wakacye w całej pełni, rok bieżący tem się przecież różni od poprzednich, że Krakowianie przeważnie nie wyjeżdżają na świeże powietrze, ani do kąpiel, wiele natomiast osób, które dotąd bawiły zdala od rodzinnego gniazda, powraca nad modrą Wisełkę, ciesząc się, że kraj nasz oczyszczony jest już od nieproszonych gości prawie w zupełności. Zjeżdżają więc teściowe na utrapienie swych zięciów, wracają ojcowie na łono marnotrawnych synów, zaczyna się zaludniać nawet i czarna giełda. Jeden tylko Aron Gajer nie wróci na swe dawne stanowisko na Szpitalnej ulicy, wyewakuował się bowiem do Chrzanowa i tam zakończył swój żywot pracowity, nie doczekawszy się upragnionego mandatu do parlamentu.

Ja, podobnie jak to czynię co roku, nie wyjeżdżam wcale z Krakowa, nie będę też grał wyjątkowo roli słomianego wdowca, konjunktury finansowej natury tak się bowiem złożyły, że trzeba siedzieć na miejscu, a świeże powietrze z kurzem łykać na plantacyach lub wdychiwać na Błoniach miejskich nad niezasypaną dotąd Rudawą, kędy fizykat miejski hoduje kultury różnych bakcylusów, nie wyłączając cholery, tyfusu i t. d.

Humoru więc nie mam, a myślę, że w tem samem położeniu jest i wielu innych obywateli rozszerzonego Krakowa i jeśli kiedy, to dziś żałuję bardzo, że małżonka nie obdarzyła mnie potomkiem płci męskiej, miałbym bowiem wywrzeć na kim swą złość, gdyż nie ulega kwestyi, iż byłby z pewnością przyniósł złe świadectwo, bo to jabłko pada zwykle niedaleko od jabłoni, a i ja sam miałem za swych młodych lat dość kłopotu z belframi, którzy w żaden sposób na mych zdolnościach poznać się nie chcieli, a tak mnie przytem lubili, iż z zasady zostawiali mnie rok drugi w tej samej klasie.

Wszelakie nauki, od kaligrafii począwszy, a na łacinie, grece, historyi, filozofii i t. d. skończywszy, były zawsze dla mnie piętą Achillesową, a miałem tych pięt tyle, iż nie policzyłbyś ich na palcach obu rąk i nóg. Mój ś. p. rodzic był zaś człekiem dość popędliwym, przemawiał mi więc z różnych stron do serca i rozumu, nieraz nawet w sposób dość dla mnie nieprzyjemny, odniosłem przecież z tego taką korzyść, iż dziś mam skórę bardzo wytrzymałą, a i to coś znaczy!

Bardzo chętnie też, aby utrzymać tradycye rodzinne, postąpiłbym dziś tak samo ze swym otrokiem, cóż jednak poradzę, skoro go nie mam! Zdaje się, że trzeba będzie nad swym grobem kazać złamać miecz i skruszyć herbową tarczę. Miejsce miecza może w danym razie zastąpić mój historyczny parasol, o ile przedtem nie nabędzie go Muzeum Narodowe do swych zbiorów osobliwości.

To przynajmniej dobrze, iż człowiek ma obecnie gwarancyę, że się po śmierci dostanie prosto do nieba, a to dzięki owym najrozmaitszym postom, na jakie obecnie jesteśmy z woli władz wyższych skazani. Boję się tylko, by z tego powodu nie było z czasem w niebie przeludnienia, gotowi bowiem urządzić stamtąd przymusową ewakuacyę i część mieszkańców przenieść w drodze urzędowej do baraków w piekle albo w czyścu, gdzie pobyt nie jest podobno wcale przyjemny. Tak mi przynajmniej opowiadała kiedyś we śnie moja ś. p. teściowa, która stale co roku raz mnie odwiedza, by mi podziękować, że ongiś starałem się zawsze uprzyjemnić jej życie na tym łez podole.

Chciałbym w każdym razie doczekać się końca wojny, a zapowiadają go znowu na jedenastego listopada bieżącego roku, za dotrzymanie przecież tego terminu, ani redakcya *Nowości Illustrowanych*, ani tem mniej kronikarz odpowiedzialności na siebie brać nie może, zwłaszcza, że najrozmaitsze przepowiednie różnych pań de Thébes, babek i dziadków dotąd się nie sprawdziły. Czekajmy przecież, do listopada nie jest znów tak daleko.

Że zaś wojna może, a nawet powinna się już raz skończyć, wnoszę to z tego, iż pan Rappaport-d'Annunzio został już oficerem i to do tego kawaleryi (ekwitacyę odbywał za młodu na karuzeli, jako poeta jeździł potem na pegazie), tak mi przynajmniej doniósł w liście, jaki od niego w tych dniach otrzymałem.

Treść jego (naturalnie listu, nie Annunzia!) jest następująca:

„Kochany Kronikarzu, a Kolego po piórze!

Przesyłając w załączeniu prenumeratę kwartalną za *Nowości Illustrowane*, których jestem od samego założenia abonentem i gorliwym zwolennikiem, w kwocie... (to już Czytelników nie powinno obchodzić, ile on płaci!... przyp. zecera), proszę uprzejmie o sprostowanie na podstawie paragrafu dziewiętnastego ustawy prasowej, na tem samem miejscu, tym samym drukiem i tą samą farbą, iż nie jest prawdą, jakobym dotąd do wojska nie wstąpił, czekając, aż ktoś ogłosi jeszcze wyższą nagrodę za zdobycie nieprzyjacielskiego sztandaru, natomiast prawdą jest, że służę wojskowo i to do tego w kawaleryi, której jestem porucznikiem. Walczę mężnie, jak na prawdziwego Włocha przystało, jeśli zaś dotąd nie mogłem się niczem odznaczyć, nie moja w tem wina, nie jest też wykluczonem, iż stanie się to, jeśli nie prędzej, to później, chyba, gdyby się wojna przedwcześnie skończyła.

Przyjm przy tej sposobności koleżeński łapościsk i uważaj się za pocałowanego przez oddanego Ci szczerze

Gabryela d'Annunzio (a nie żadnego Rappaporta!... Wypraszam sobie podobne alluzye do mego żydowskiego pochodzenia) król. porucznika kawaleryi i kawalera orderu Zwiastowanie etc. etc.".

Tego rodzaju prośbie odmówić nie mogłem, list ten przytaczam też *in extenso*, nie wątpiąc, że i on odwzajemni mi się w ten sam sposób, gdyby tego kiedyś zaszła potrzeba, choć bardzo wątpię, gdyż ja żadnych listów, a tem samem sprostowań pisać nie lubię i z zasady ich nie piszę.

Zanim zaś wojna się skończy, ciekawy jestem, ile razy zmieni się jeszcze taryfa maksymalna na różne środki spożywcze, ujrzała bowiem światło dzienne, jeśli się nie mylę, dziesiąta, z której dowiedzieliśmy się, iż mięso potaniało o dwanaście halerzy na kilogramie, zdrożały natomiast inne rzeczy, między niemi zapałki, za które teraz trzeba będzie płacić po trzy halerze za pudełko! Zdrożeje także i spirytus, choć taryfą nie objęty, zapowiadają mianowicie, iż od litra podatek rządowy podniesiony będzie z dwudziestu halerzy na siedmdziesiąt, co znów da sposobność szynkarzom do podskoczenia także w cenie, gdyż oni bardzo lubią skakać i korzystają zaraz z każdej nadarzającej się ku temu sposobności. Doszło już do tego, że za kieliszek, który dawniej kosztował pięć centów, płaci się obecnie dziesięć i więcej. Szynkarze lwią część z tego chowają w kieszeń na czarną godzinę i narzekają jeszcze, że dokładają do interesu, bo teraz takie ciężkie czasy, że nawet woda zdrożała.

Boleśnie też dotknął najszersze sfery ludności nakaz zamknięcia wielu szynków i ograniczenie sprzedaży napojów wyskokowych z wyłączeniem spirytusu denaturowanego, na którym, jak już wspomniałem w poprzedniej kronice, może każdy używać, ile chce i o ile może, wiadomo bowiem, iż trudno go nabyć i że nie jest wcale smacznym, jak o tem miałem się sam sposobność przekonać, wypijając niedawno przez pomyłkę kieliszek. Plułem potem przez cały tydzień (naturalnie do spluwaczki, gdyż tak każe pan fizyk) i dziś jeszcze czuję ten smak na języku. Czytałem zaś w Kuryerku, że Moskale chwalą sobie bardzo nowy rodzaj wódki, sporządzonej z spirytusu denaturowanego, kwasu i pieprzu! Brr!... Aż mi się słabo robi na samo wspomnienie! Tyle specyałów na raz!... Nie dziwię się też, że kto ma takie gusta, musi przegrać wojnę, co daj Panie Boże jak najrychlej!

Najgorzej jednak, że straciłem wiarę w przysłowia, o których dotąd zawsze twierdziłem, iż są filozofią narodów. Dlaczego się to zaś stało, postaram się wytłumaczyć Szanownym Czytelnikom i nadobnym Czytelniczkom.

W dziale zagadkowym *Nowości Illustrowanych*, którym zajmuje się mój serdeczny przyjaciel i kolega (ja mu czasem pomagam!), wyczytałem niedawno przysłowie, powiadające, że „po świętym Janie lada baba deszcz uprosi". Tymczasem Janów minęło już tyle, niedawno najważniejszy z nich, bo święty Jan Chrzciciel, a deszczu, jak nie było, tak niema, chyba, że baby o niego nie proszą, a o to ich nie posądzam, boć i im gorąco daje się porządnie we znaki, aczkolwiek noszą na sobie obecnie takie przeźrocza, iż nowomodną suknię damską można teraz całkiem wygodnie zmieścić w zwykłej kopercie listowej i nie potrzeba nawet opłacać podwójnego porta. Z góry niewiele, z dołu jeszcze mniej, oto zasada, jaką się kierują panie modniarki.

Myślałby może kto, że taka suknia mniej kosztuje? Dyabła tam! Im mniej materyału, tem cena wyższa...

Dajmy zresztą spokój babskim kieckom, mógłby ktoś zarzucić mi, że jako mężczyzna na tem się nie znam, a miałby zupełną racyę. Ani pary nie puściłbym z... buzi, siedziałbym cicho, dlatego też i teraz wracam do owego, wyżej zacytowanego przysłowia i autorowi jego wyrażam w swem własnem imieniu i wielu innych *votum* nieufności.

Jedno tylko przysłowie sprawdza się prawie zawsze, choć i tu można powiedzieć, że niema reguły bez wyjątku! Brzmi ono: „Baba z wozu, koniom lżej".

Proszę mi jednakowoż powiedzieć, czy koniom, naturalnie w przenośnem tego słowa znaczeniu, jest rzeczywiście lżej, jeśli n. p. pogniewa się na nie n. p. bogata ciotka i obrażona wyjedzie, obiecując solennie nie zapisać nikomu ani złamanego szeląga, chyba, co najwyżej, stare okulary?

Tak jest! Przysłowia często zawodzą, ale cóż dziś nie zawodzi na świecie?

Zawiedli się nawet nasi sportsmani od piłki nożnej, nawołując amatorów tej gry do jak najliczniejszego wzięcia udziału w ćwiczeniach, zgłosiło się bowiem niewielu. Inicyatorom zachciało się tej zabawy, jak starej babie tarek, dziś, gdy brak nam na każdem polu rąk do pracy, nie powinno się oddawać sportom. Kto ma ochotę wytrenować się należycie, niech się zgłosi na wieś do robót polnych, przysłuży się społeczeństwu i zahartuje swe ciało lepiej, niż na boisku footballowem, gdzie się tylko czas niepotrzebnie traci, łamie ręce, nogi i nosy i karki kręci!...

Myślę, że na brak rozmaitości w niniejszej kronice, nikt się skarżyć nie może. Poruszyłem tyle aktualnych momentów, iż aż sam się dziwię, skąd się u mnie w kanikularnym czasie tyle wzięło fantazyi, zwłaszcza, że nie puściłem dotąd ani jednej kaczki dziennikarskiej.

Czego jednak dotąd nie było, to stać się jeszcze może, o ile naturalnie jegomość pan, metrampaż, nie powie: „*Halt!* Brak miejsca!" (Używa on z przyjemnością niemieckich wyrażeń, wybiera się bowiem do służby wojskowej, pewny, że karabin nie minie go przy najbliższym „musterunku", do którego staną wszyscy liczący do pięćdziesięciu lat życia, a i dalszy ciąg pono nastąpi!...)

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył Bazyliszek z Liszek

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą najważniejszy moment kroniki wypadków wojennych z ubiegłego tygodnia.

— gar
— oża
— eno
— ard
— awa
— ora
— gar
— ero
— ran
— zaw
— ena
— ola
— mar
— aza
— mur.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą pseudonim polskiej powieściopisarki.

— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spadek. 2. Pocisk. 3. Amerykański krokodyl. 4 Kwiatek wiosenny. 5 Narzędzie gospodarskie. 6. Narzędzie gospodarskie.

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nowe polskie przysłowie:

1. Mało zysku, dużo krzyku.
2. Z kim się kto wdaje, takim się staje
3. Za tanie pieniądze psy mięso jedzą
4. Złej tanecznicy fartuszek zawadza.
5. Zdrowa baba chorego chłopa przeskoczy.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko polskiego malarza

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2 Ogłoszenia w dziennikach 3. Sakrament. 4. Miara powierzchni. 5 Rodzaj wojska 6. Miejsce w teatrze. 7. Stan podobny do śmierci 8. Przyimek. 9. Samogłoska.

Okienko.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery uporządkować w ten sposób, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a a e
e g g l o
o p r
r z z z z

Znaczenie wyrazów: 1. Koń, znany z mitologii 2. Statek 3. Zjawisko atmosferyczne

Łamigłówka.

Ułożył Rekrut z Zabierzowa

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół w pierwszym i trzecim rzędzie, podadzą okoliczność, która każdego napawa radością

— i — ołaj
— r - wa
— e — ny
— r - pak
— n — elm
— a - rtes
— r au
— r - isko
— z — ło
— n — azya
— r - z n.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

E! Żyd Gogol wozi kramy, mace, sago

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

PROT. E ZYHYN.

URSYN A AZOCKY.

SOTER PYDEK.

URSYN B. K. BEST

JACEK ROMAN CYRYD.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego:* **Królewiacy.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 26.

Szarada: Asenterunek.

Łamigłówka:

Salon.
Yes.
Nosze.
Odpust
Rowek.
Apel.
Derka.
Zapas.
Kara
Idyom

Trójkąt magiczny:

M e h o f f e r
E m b a r g o
H e k t a r
O s m a n
F a r a
F e z
E h
R

Łamigłówka:

Oran
ogset
kawa
echo
rabi
koło
doki
Izis
kres
Eden
Eris
Lena
para
król
waga
Lete
rama
Syon
ślaz
Oleg
brat.

Przysłowiówka: Dobra psu mucha, jak mu wpadnie do brzucha.

Zadanie do przestawienia: Śmiałków psy gryzą.

Zadanie konikowe:

Prawdziwa miłość nie podlega zmianie,
Żadnym się brakiem nigdy nie zniechęci,
W zaćmieniu szczęścia wierną nam zostanie,
W zawodach życia boleść nam uświęci.
Choć burze rykną, burzom się ostoi,
Choć czas ubiegnie, bieg czasu przetrzyma.

Okienko:

K o w a l
o a a
w a w e l
a e k
l a l k a

Zadanie do przestawienia: Po świętym Janie lada baba deszcz uprosi.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, S. Góski Nowy Jiczyn, J. Jahoda Cieszyn. M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, H Micyńska Przetakówka, J. Ligęzianka Przetakówka

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Rogalski, Radłów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Podsłuchane.

Pani domu: Kasiu! Idź do apteki i przynieś za dziesięć centów proszku perskiego, ale powiedz, że to dla pana, który jest na wojnie, to dadzą może więcej...

Mądry chłopak.

Syn pana Tomasza jest chłopakiem bardzo rozwiniętym, co to ma głowę do wszelakich figlów, ale nie do nauki. Biedne ojczysko próbował już rozmaitych sposobów, by Jasiowi przemówić do serca i rozumu, zabierał się do tego i z przodu i z tyłu, nic to przecież nie pomagało.

W ostatnich dniach czerwca, chłopak przynosi do domu świadectwo, zanim jednak ojciec miał sposobność zapytać go, jak tam poszło, Jaś, wiedząc o tem, że ojciec zajmuje się ogromnie wojną, woła rozpromieniony:

— Tatusiu! Nasi posunęli się znowu o pięć kilometrów naprzód!

— A ty?

— Ja zostałem jeszcze rok w trzeciej klasie!

Dowód miłości.

Marysia, pokojówka od pana mecenasa, tak serdecznie kocha swego kaprala, iż przy pożegnaniu, gdy wychodził na pole walki, własnoręcznie włożyła mu do tornistra podręcznik do pisania listów miłosnych.

Jedyny w Krakowie, który posiada **własny wyrób trumien**

Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) **Telefon Nr. 331**

HUMORYSTYCZNY

KALENDARZ „BOCIANA“

na rok 1915

już wyszedł i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracyi „Bociana“, Kraków XV. Przesyłki uskutecznia się odwrotnie **za nadesłaniem należytości z góry, za egzemplarz 1 kor. — (50 kop.), na porto 10 hal., lub 35 hal. na porto rekomendowane.** Za przesyłki nie rekomendowane Administracya nie odpowiada.

Opuściły świeżo prasę broszury pod tytułem:

Dr. J. S. **Cholera** jej istota i zwalczanie . [illegible]0 hal.
Dr. J. S. **Dysenterya** 20 hal.
Dr. J. S. **Tyfus** plamisty i brzuszny . . 20 hal.
Dr. J. S. **Desinfekcya** 10 hal.
Dr. T. Janiszewski. **Tępienie much** . . . [illegible]0 hal.

Po otrzymaniu 1 K. w markach przesyła opłatnie

Księgarnia Podhalańska Zakopane

Potrzebny uczeń

do

drukarni i kliszarni

Nowości Illustrowanych.

Józef Lasoń.

Zatracone dusze

Nowele.

Treść: W księżycową noc. — Krew. — Za wstyd. — Na Saksy. — Wojtek malarz. — Warkocz: Cześć I. Peja. Cześć II. Jedna chwila.

Cena 2 korony.

Do nabycia we wszystkich Księgarniach.

W najbliższych dniach wyjdzie z druku:

CHRYSTUS

Pieśń o Polsce.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBÓR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane. Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

Pięć aparatów fotograficznych

ręcznych w form. 6×9

(Brownie Camera Nr. 2)

do sprzedania.

Wiadomość w Administracyi „Nowości Illustrowanych“.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Muzyka wojskowa w każdą niedzielę.

ADMINISTRACYA „Nowości illustrowanych“ odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe **z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.**

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego